

GŁOS POLONII



Pismo założone i redagowane przez PSK im. J.Bema na Węgrzech
Rok XI (XXVIII) Nr 22 (49) Wrzesień 1997 r.

DODATEK POLONII WĘGERSKIEJ

Polska w potrzebie

Początek lata tego roku nic nie zapowiadał, że wbrew tradycji o „ogórkowym sezonie”, dla wielu z nas zbliży się okres wytężonej pracy. Myśleliśmy, że uroczystości obchodzony Dzień Św. Władysława rozpocznie turnusy zasłużonych urlopów wypoczynkowych. Samorządy, stowarzyszenia oraz ich terenowe oddziały „wywiesiły” informacje mówiące o wakacyjnej przerwie. Tymczasem kilka dni później nadeszły z Polski pierwsze wstrząsające wiadomości. Tutajsza prasa i telewizja codziennie, wielokrotnie donosiła o klęsce żywiołowej jaka dotknęła olbrzymie połacie naszej Ojczyzny. Z dnia na dzień rosła ilość zalanych miast i wsi, zwiększała się liczba ofiar. Nikt z nas nie mógł pozostać obojętny wobec dramatu, jaki rozgrywał się w Nysie, Raciborzu, Kędzierzynie, Opolu czy Wrocławiu. Wiele ma tam krewnych, przyjaciół, znajomych. Kto mógł, przerwał urlop lub wcale nie wyjechał, i pospieszył z pomocą. Wszyscy uświadomili sobie jak wielką rolę mogą odegrać nasze mniejszościowe samorządy. Dumą ogarnia fakt, że w tym trudnym okresie stanęły one na wysokości zadania. Zaczęły funkcjonować ze wzmoczoną intensywnością. Ich lokale były czynne dniem i nocą. Stały się one niezmiernie ważnymi

punktami pośrednictwa i koordynacji ogromnej liczby inicjatyw, organizowania pomocy. Rząd RW, Czerwony Krzyż, władze miast i gmin, szkoły, zakłady oraz tysiące osób prywatnych, wyrażając szczerą intencję niesienia pomocy „bratankom” szukały informacji i rad: w czym pomóc, co jest potrzebne?

Premier Gy.Horn chwycił słuchawkę telefonu, by zapytać o to pana prezydenta A.Kwaśniewskiego. Odpowiedź była konkretna i już następnego dnia telewizja pokazała brygady węgierskich specjalistów wyruszających konwojem ciężarówek z zestawem wysokowydajnych pomp do Wrocławia. Trudno było opanować wzruszenie, oglądając takie i podobne doniesienia, czy też słuchając często, w dobrej wierze, powtarzających się apeli do Węgrów, aby nie podejmowali indywidualnych wypraw z dostawami żywności i leków do Polski bowiem granice i drogi są zalane i nieprzejezdne. Mimo tego, wielu nie zważając na niebezpieczeństwa wyruszyło na północ...

Otworzono konta bankowe, na które w ciągu paru dni wpłynęło wiele milionów. Setki ludzi, w tym emeryci i renciści, przychodzili do samorządów i Ambasady z pytaniem, czy mogą wpłacić nieraz ciężko zapracowane lub zaoszczędzone forinty, by mogły one trafić do polskich rodzin, których dotknęła tragedia.

Masową, spontaniczną formą pomocy stała się akcja przyjmowania grup dzieci i młodzieży polskiej na obozy i kolonie. Samorządy miast i gmin do końca wakacji zorganizowały pobyt na Węgrzech dla ponad 4 tysięcy młodych Polaków z terenów dotkniętych powodzią. Niebagatelną rolę w pośrednictwie i koordynacji powyższej akcji miały polskie samorządy oraz Wydział Konsularny.

Obecnie trudno jeszcze ocenić rozmiary pomocy udzielonej przez Węgrów i Węgry, jak również tutejszej Polonii, ponieważ jest ona kontynuowana.

Część niniejszego numeru poświęcamy relacjom o pomocy pisany „na gorąco”. Do tematu powrócimy w następnym numerze.

Jerzy Kochanowski

Witamy Panie Ambasadorze!



25 sierpnia br. nowo mianowany Ambasador Nadzwyczajny i Pełnomocny RP, Grzegorz Łubczyk złożył na ręce Prezydenta Republiki Węgier Árpáda Göncza listy uwierzytelniające.

Po ceremoniach w Parlamencie i na Placu Bohaterów, Ambasador oddał hołd gen. Józefowi Bemowi, składając wieniec pod jego pomnikiem. Spotkał się tu z liczną grupą Polonii oraz młodzieżą polską przebywającą na koloniach i obozach na Węgrzech. Ciąg dalszy miłego spotkania miał miejsce w rezydencji Ambasadora, do której zaprosił na tradycyjną lampkę szampana. Tu w imieniu węgierskiej Polonii, nowego Ambasadora powitał przewodniczący Ogólnokrajowego Samorządu Polskiej Mniejszości na Węgrzech dr Konrad Sutarski, który w ciepłych, serdecznych słowach życzył sukcesów w pracy, wyrażając nadzieję, że będzie to również „naszym” ambasadorem.

Wszyscy wiedzą bowiem, że pan Grzegorz Łubczyk jest bardzo związany w Węgrami, tak zawodowo, jak i rodzinnie. Przez wiele lat przebywał tu, pełniąc służbę korespondenta prasowego kilku polskich gazet.

Ma wśród nas wielu oddanych przyjaciół i fakt ten, przy wielu okazjach podkreśla. Żywimy nadzieję, że krąg ten się rozszerzy.

Za dotychczasowe zasługi na polu zbliżania naszych narodów, jako drugi z kolei Polak został odznaczony Krzyżem Orderu Zasługi RW.

(Red.)

W NUMERZE:

- Wszyscy ludzie dobrej woli ..., czyli pomoc dla powodziar w Győr;
- Polskie dzieci w Győr;
- Dzieci polskie w Pestlőrinc;
- Węgierska pomoc miastu Bema;
- „Nie umiem stać beczynnie”;
- Milenium Gdańska, „Gdańsk miał wielkich ludzi”;
- Kronika imprez i wydarzeń
- U progu 40-lecia Stowarzyszenia;
- Sylwetki działaczy polonijnych;
- „Moje okupacyjne przeżycia”;
- Z cyklu „Nasi przyjaciele” - rozmowa z Zoltanem Nagyiványim.

Tysiąc lat

W tym roku mija tysiąc lat od śmierci Św. Wojciecha. Urodził się ok. 956 r. w czeskich Libicach jako przedostatni z siedmiu synów możnego rodu Sławnikowiczów. Przeznaczony przez rodziców do stanu duchownego kształcił się w Magdeburgu pod opieką tamtejszego arcybiskupa Adalberta. Ku jego czci przyjął podczas bierzmowania imię Adalbert. Pod tym imieniem jest zapisany w „Martyrologium rzymskim” i znany w Europie Zachodniej. W Polsce i Czechach - czczony jest pod imieniem chrzestnym -Wojciech. Jako 25-letni subdiakon wraca do Czech, gdzie zostaje konsekrowany na biskupa Pragi. Po kilku latach „zniechęcony i rozczulony rozwiązałością duchowieństwa, rozdał wszystko, co posiadał i za radą papieża Jana XV wstąpił do klasztoru benedyktynów na Awntyń. Tu znalazł spokoju wewnętrznego, oddając się żarliwej modlitwie”(za: „Żywoty świętych pańskich”. Olsztyn 1985 r.)

W 992 r. powtórnie wraca do Pragi. W wyniku zatargu z ks. Bolesławem II zostają spustoszone jego rodzinne Libice, a bracia wymordowani. Rzeź tę opisuje sugestywnie Antoni Gołubiew w głośniejszej po wojnie powieści „Bolesław Chrobry”.

Wojciech udaje się do Polski, gdzie podsunęto mu pomysł wyprawy misyjnej do pogańskich Prusów. Wojciech z bratem Radzimem i przebiterem Benedyktem płynie łodzią do Gdańska, a stamtąd - morzem - w kierunku ujścia Pregoty. Wysiada i zostaje zabity przez pogańskiego kapłana w bliżej nieznanym miejscu, identyfikowanej dziś jako Tękity lub Truso. Głowę mu odcięto i wbito na żerdź. Prawdopodobnie wtargnął na święte miejsce Prusów, co uznano za profanację karana śmiercią.

Ciało wykupił Bolesław Chrobry. W 999 r. papież Sylwester II wpisał Wojciecha w poczet świętych. Po śmierci Chrobrego czeski władca - Brzetysław pustoszy ziemię polską ogniem i mieczem, grabiąc m.in. ciało Św. Wojciecha, z wyjątkiem ramienia przewiezonego uprzednio do Rzymu. Relikwia ta, w 1928 r., na prośbę prymasa Augusta Hłonda zostaje przewieziona z powrotem do Polski i umieszczona w skarbcu katedry gnieźnieńskiej.

„Obok Małki Boskiej, Królowej Polski i Św. Stanisława, biskupa męczennika, jest Św. Wojciech głównym patronem Polski” (za: „Żywoty świętych pańskich”. Olsztyn 1985)

Milenium Gdańska

Miasto Gdańsk obchodzi w tym roku tysiąclecie założenia. Uroczystości jubileuszowe trwały przez całe lato a jednym z głównych punktów obchodów był tradycyjny Jarmark Św. Dominika, sięgający swoimi korzeniami okresu średniowiecza. Do Gdańska przybyło na tą okazję setki tysięcy turystów z całego świata. Malowniczo położony gród nad Motławą, pełny unikalnych zabytków, wielowiekowych fragmentów miasta, ulic, bram, kamieniczek oraz licznych kościołów robi niesłychane, niepowtarzalne wrażenie. A trzeba wiedzieć, że w 1945 roku armia radziecka „wyzwalając” go, zniszczyła przy okazji jej starówkę w prawie dziewięćdziesięciu procentach. Żmudnym wysiłkiem została jednak odbudowana, i teraz jest ponownie, jak za swojej świetności, „perłą” Bałtyku. Na pewno warto się więc zapoznać z przeszłością tego miasta. Z góry przeproszam za moje subiektywne spojrzenie, lecz o historii Gdańska i jego ciekawych powiązaniach z Węgrami zamierzam napisać w jednym z najbliższych numerów „Głosu”. Jest ono bowiem moim rodzinnym miastem, do którego mam wielki sentyment i myślę, że nie tylko ja.

W ramach obchodów milenijnych Gdańska, w dniach 3-10 sierpnia br. odbyło się V Sympozjum Polonii Kaszubsko-Pomorskiej, którego organizato-



rami byli min. Wojewoda Gdański, Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” oraz Kaszubski Uniwersytet Ludowy. Wśród 50-ciu uczestników z 14 krajów, Węgry reprezentowali: dr Konrad SutarSKI, Jadwiga Abrusan oraz niżej podpisany. Celem spotkań jest zacieśnienie kontaktów Polonii Pomorskiej rozsianej na całym świecie oraz promocja walorów tego regionu. W bogatym programie Sympozjum było zwiedzanie Gdańska, Kaszubskiego Parku Etnograficznego w Wdzydzach, Muzeum Hymnu Narodowego w Będominie oraz spotkania z władzami samorządowymi i Związku Kaszubsko - Pomorskiego. Podczas dyskusji panelowych na temat „Sytuacja Polonii w krajach osiedlenia” przewodniczący OSPM wygłosił obszerny referat, który spotkał się ze szczególnym zainteresowaniem rodaków z innych państw. Dowodem tego były licznie stawiane pytania.

Organizatorzy Sympozjum proszą o kontakt oraz przesłanie adresów Rodaków zamieszkających na Węgrzech, których „korzenie” wywodzą się z Ziemi Kaszubsko Pomorskiej.

Jerzy Kochanowski



Gdańsk miał wielkich ludzi

Gdyby zapytać Polaków o najsłynniejszego gdańszczyzanina, odpowiedź byłaby prawdopodobnie jedna: Lech Wałęsa. Być może ktoś wymieniłby jeszcze: słynnego astronoma Jana Heweliusza, filozofa pesymizmu Artura Schopenhauera, twórcę termometru Daniela Fahrenheita i jeszcze pisarza Guntera Grassa. Z Gdańskiem związanych było jednak więcej znanych nazwisk i barwnych postaci.

pierwszej w historii medycyny udanej operacji żołądka. Schwabe zoperował przyjaciela króla Władysława IV, który popisując się przed kamratami swoimi zdolnościami magicznymi, połknął niechcący nóż.

...Jan Heweliusz przed rozpoczęciem kariery astronoma dał się poznać jako niezrównany piwowar, produkujący w odziedziczonym po ojcu browarze piwo jopejskie. Dziś można w Gdań-

się na kupca. On jednak wolał poświęcić się nauce. Fahrenheit skonstruował m. in. termometr rtęciowy.

...Daniel Gralath jako pierwszy na świecie napisał rozprawę naukową o historii elektryczności oraz założył w 1743 roku pierwszą na ziemiach polskich organizację naukową: Towarzystwo Przyrodnicze.

...Jan Forster, wraz z osiemnastoletnim synem Jerzym, wziął udział w drugiej wyprawie dookoła świata Jamesa Cooka. Po powrocie ich niezwykle pamiątki i eksponaty z podróży stały się ozdobą Towarzystwa Przyrodniczego w Gdańsku. Z podróży z Cookiem napisali wspólną książkę.

...Gotfryd Ernes Groddeck, gdański literaturoznawca, autor pierwszego w Europie syntetycznego podręcznika literatury greckiej i rzymskiej, był nauczycielem i wychowawcą Adama Mickiewicza podczas swojej pracy na Uniwersytecie Wileńskim.

...Anna Schopenhauer, matka wybitnego filozofa, zajmowała się pracą literacką. Napisała m. in. autobiograficzną książkę: „Gdańskie wspomnienia młodości”. Rodzina Schopenhauerów opuściła Gdańsk na zawsze w 1793 roku, nie mogąc się zgodzić z anektowaniem miasta przez Prusy.

...Stanisław Przybyszewski, wybitny młodopolski dramaturg, nie mogąc wyżyć z literatury, przyjechał w 1920 roku do Gdańska i został urzędnikiem w dyrekcji kolei. Przybyszewski był jednym z założycieli Gimnazjum Polskiego Macierzy Szkolnej w Wolnym Mieście Gdańsku.

...Guenter Grass urodził się w 1927 roku w Gdańsku-Wrzeszczu, w domu przy ul. Lelewela 13 - jak sam to określa - w „koszmarnej czynszówce”. Dom ten stoi nadal i od tamtych czasów niewiele się zmienił.

Anna Zych



Archiwalne zdjęcie z 1989 roku

...Jan Kanapariusz w swoim „Żywocie św. Wojciecha” po raz pierwszy wymienił nazwę „Gyddanyzc” w 997 roku. Stąd obchodzimy tysiąclecie pierwszej pisemnej wzmianki o mieście.

...Jan Dantyszek, dyplomata, poseł, ambasador, a przede wszystkim poeta łaciński, autor głośnych elegii, zamiast podpisywać się tak, jak jego ojciec i dziadek - Flachsbinder - wolał być znany jako Joannes Dantiscus, co oznacza „gdańszczyzanin”.

...Jan Bernard Bonifacio markiz Oria, który założył Bibliotekę Gdańską, ponoć tylko raz, i to z miłości do poezji Horacego, pił wino. Jedyną jego słabością było kupowanie i gromadzenie książek.

...Daniel Schwabe, gdański lekarz, dokonał w 1635 roku

sku zamówić mało gazowane, o cierpkim i wyrazistym smaku, piwo o nazwie „Heweliusz”.

...Elżbieta Koopmann, druga żona Jana Heweliusza, towarzyszyła mu w badaniach astronomicznych i zyskała miano „pierwszej damy badającej ciała niebieskie”. Heweliusz swoje największe i najważniejsze dzieło dedykował swojemu miastu. Była to pierwsza w kartografii naukowej mapa Księżyca, „Selenographia”, z 1647 roku.

...Gabriel Daniel Fahrenheit stracił rodziców w tajemniczych okolicznościach. Znalaziono ich w 1701 roku martwych w altanie ich podmiejskiego domku. tajemnica ich śmierci nie została nigdy wyjaśniona. Osieroconego Gabriela Daniela wysłano do Amsterdamu, by tam kształcił

Kronika Imprez i Wydarzeń

KWIECIEŃ

16 - Młodzieżowy konkurs recytatorski poezji polskiej zorganizowany w sali Stowarzyszenia przez Ogólnokrajowy Samorząd Mniejszości Polskiej na Węgrzech. Udział wzięło 17-cio dzieci z terenu całych Węgier.

18 - Ukazał się w kolejny numer miesięcznika wydawanego przez Polski Samorząd pt. „Polonia Węgierska”. Redaktorem zespołu jest Alicja Nagy.

18 - Promocja książki dr Szokolay Katalin pt. „Historia Polski” (książka wydana w języku węgierskim)

14 - 20 - Tygodniowy pobyt 3-osobowej delegacji Polaków z Litwy. Wileńczycy dali pokaz wiązania słynnych palm wielkanocnych w kilku ośrodkach polonijnych stolicy. W niedzielę po Mszy św. przed polskim kościołem na Kőbánya odbył się „Kaziukowy targ palmowy”

22 - Egzamin wstępne dla polonijnej młodzieży na polskie uczelnie. Przystąpiło doń 16 abiturientów; tylko trzech nie sprostało wymogom stawianym przez ministerialną komisję.

MAJ

2 - Ogólnopolonijna uroczystość złożenia wiązanek kwiatów przed pomnikiem króla Stefana Batorego z okazji rocznicy koronacji, połączona z otwarciem wystawy dzieł artystów plastyków, której tematem był: „Król Batory i Polska”. Wystawione eksponaty znalazły się w wydany na tą okazję mini-katalogu ich reprodukcji. Organizatorem tegoż wydarzenia kulturalnego był Polski Samorząd Mniejszościowy XIV dzielnicy Budapesztu.

2 - uroczysty koncert w Stowarzyszeniu z okazji Święta Konstytucji. W części artystycznej wystąpili zaproszeni z Warszawy aktorzy Teatru Narodowego. Dali oni także koncert w Székesfehérvár.

3 - Z okazji Konstytucji 3-go Maja uroczysta Msza św. w Polskim Kościele celebrowana przez tutejszego proboszcza ks. Marka Zygałę. Podczas uroczystości po raz drugi kolejne trzy osoby otrzymały okolicznościowy medal „Za zasługi dla

Polonii i Kościoła”. Awers medalu przedstawia wizerunek założyciela tutejszej parafii, pierwszego jej duszpasterza ks. Wincentego Danka.

13 - Spotkanie z artystą-grafikiem, projektantem wzorów ceramicznych panią Wandą Szyksznian, córką osiadłego na Węgrzech żołnierza Września. Wprowadzenie do tematu oraz prezentacji gościa dokonał znany węgierski artysta - grafik, profesor Attila Csaj.

20 - Zebranie rodziców dzieci wytypowanych na kolonie letnie do Polski organizowane przez Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”. Nasza polonijna młodzież korzysta systematycznie z tej formy poznania kraju swych przodków już od ponad 30-tu lat. W tym roku zakwalifikowało się 48. dzieci na ponad sto zgłoszeń. Tegoroczne kolonie były w Sopocie.

27 - Wieczór literacki związany z twórczością Wisławy Szymborskiej i prelekcją Istvána Kovácsa.



Pomnik króla
Stefana Batorego w Budapeszcie

CZERWIEC

7 - Msza Św. ekumeniczna (niemiecka, polska i ormiańska) w Kaplicy Skalnej oraz forum tych mniejszości w Hotelu Gellérta. Uroczystości zorganizował Samorząd Polskiej Mniejszości Narodowej XI dzielnicy Budapesztu, a zamknął je „bał cygański”. Wystąpił polski zespół ludowy „Czantornia” z Ustronia.

7 - Dzień Dziecka w plenerze XVIII dzielnicy Budapesztu z programem artystycznym i pieczeniem kiełbasek.

8 - Gościnny występ chóru „Czantornia” w siedzibie Stowarzyszenia.

14 - Uroczyste zakończenie roku szkolnego Szkoły Polskiej im. Sándora Petőfiego i Szkółek Polonijnych z całych Węgier. Uroczystość zorganizowały Ogólnokrajowy i Stołeczny Samorząd Mniejszości Polskiej. Wystąpił chór „Gawęda” specjalnie zaproszony na tę okazję.

28 - Uroczystości „Dnia Polonii Węgierskiej” w Dniu Św. Władysława.

LIPIEC-SIERPIEŃ

Przerwa wakacyjna. Remont siedziby Stowarzyszenia, dzięki finansowej pomocy Samorządu Ogólnokrajowego.

WRZESIEŃ

1 - Złożenie wieńców na grobie Józsefa Antalla seniora.

18 - Złożenie kwiatów pod tablicą pamiątkową na budynku byłego obozu polskich żołnierzy w Vámosmikola.

21 - Udział w wyborach do Sejmu i Senatu RP. Lokal wyborczy zorganizowano w gmachu Ambasady.

23 - Pierwsze spotkanie w siedzibie Stowarzyszenia z Ambasadorem RP, Grzegorzem Łubczykiem.

Helena Révész

U progu 40-lecia "Bema" (2)

Drugim działaczem, który wpisał się złotymi zgłoskami w historię Stowarzyszenia był nieodżałowany Stefan Bielicki (dla nas był Stefciem). Pochodził z Bydgoszczy, od dziecka zafascynowany sportem. Ukończył Studium Wychowania Fizycznego przy Uniwersytecie w Poznaniu, studiował również ekonomię. W 1939 roku został zmobilizowany i jako oficer kawalerii brał udział we Wrześniowej wojnie. Kompania w której służył stoczyła historyczną bitwę pod Kockiem. Wraz z tysiącami żołnierzy polskich 17 września przekroczył granicę węgierską przybывая do kraju który staje się dla niego drugą ojczyzną. Tu się ożenił i założył rodziną.

Już na Węgrzech poznaje się m.in. z Władysławem Borysem i Witoldem Wieromiejem którzy też lubują się w sporcie. We trójkę postanawiają spopularyzować nad Dunajem, dotychczas nieznaną, piłkę siatkową. Latem 1945 roku dzięki ich staraniom

drużyny, niebawem zaś, Węgierskie Stowarzyszenie Piłki Siatkowej. Stefan przenosi się do Csepła z którą to drużyną zdobywa wkrótce pierwszy tytuł mistrza kraju. W 1963 r. klub ten jest już wicemistrzem Europy. Pierwsze zagraniczne zaproszenie węgierska kadra „szczypiornistów” otrzymała naturalnie... z Polski. Stefan był wówczas jej trenerem i międzynarodowym sędzią. Po latach otrzymuje od władz węgierskiego sportu najwyższe odznaczania. W Polsce wraz ze wspomnianym Wł.Borysem i W.Wieromiejem wyróżniono go Złotym Medalem Zasłużonego Działacza Sportu. Nie bez racji zwykliśmy nazywać więc Stefcia „Ojczulkiem Węgierskiego Sportu”.

Był on również emocjonalnie zaangażowany w działalność polonijną. Człowiek niezwykle prawy, skromny i bardzo pracowity. Piastował w naszym Zarządzie stanowisko sekretarza, wicepre-

prowadził nam pedantycznie księgowość, a podczas różnych spotkań zasiadał do pianina inicjując spontaniczne potańcówki.

Z okazji 30-lecia Stowarzyszenia odznaczony został polskim Orderem Krzyża Zasługi.

W działalności naszej organizacji nie zapomnieliśmy również o bardzo wówczas zaniedbanej Parceli Polskiej na cmentarzu w Rákóskeresztúr. W porozumieniu z Konsulatem doprowadziliśmy jej stan do takiego porządku, że znikły chwasty i zielsko a zaczęły być widać krzyże i groby.

W pierwszych dniach po przyjeździe z Polski i zamieszkaniu na Węgrzech, dzięki pani Irenie Varsányi trafiłam na polską plebanię do księdza prof. dr Karola Dragosza. Zaprzyjaźniłam się z nim i zaczęłam często przebywać u niego na rozmowach. Robił wrażenie bezradnego starca, żył ubogo i utrzymywał się ze skromnych datków i darowizn. Już wtedy widoczne były pęknięcia na frontowej ścianie kościoła. Pisałam w tej sprawie notki do Konsulatu. Skutek tego był oczywiście żaden. Podczas jednej z przyjaznych rozmów ksiądz wyznał mi, że udziela pofnie sakramentów świętych: małżeństwa i pierwszej komunii Polakom przybывая z kraju. W PRL-u bowiem ludzie na stanowiskach bali się uzewnętrzniać swoich przekonań religijnych.

Wielu z nas wiedziało, że w drewnianych skrzyniach na zapleczu kościoła przechowywane są stare, przedwojenne sztandary. Była różne: liturgiczne, organizacji polonijnych, harcerski i inne. Prosiłmi wielokrotnie o zwrócenie ich nam, obawiając się, iż źle przechowywane, w nieopalanym pomieszczeniu, ulegną zniszczeniu. Ksiądz-staruszek, nieufny zresztą nikomu, bał się natomiast, że te mogą wówczas dostać się do rąk komunistów. Trzeba przyznać, że posiadał w tym zakresie osobiste, smutne doświadczenia. Był on swego czasu dyrektorem Gimnazjum OO. Pijarów, które



Ksiądz Dragosz z grupą parafian przed polskim kościołem na Kőbányi

założona zostaje pierwsza drużyna przy klubie Elektromos. Stefan był jej trenerem, jak wówczas mawiano, nauczycielem gry. Węgrom bardzo szybko przypadła do gustu ta nowa dyscyplina. Powstają dalsze

zesa i prezesa. Jako emeryt oddał bez reszty całe swoje życie Stowarzyszeniu. Otrzymywane czasem pieniężne wyróżnienia z Węgierskiego Ministerstwa dziełi pomiędzy pomagającym mu w pracy emerytom. Swego czasu

zostało przez nowe władze zamknięte, księży-nauczycieli zwolniono i zmuszono do wyjazdu na daleką prowincję. Los rzucił wówczas księdza Dragosza do Kőbányi, która była wtedy niewielką podstołeczną gminą. Bardzo pragnęłam zobaczyć ukrywane sztandary. Okazja taka nadarzyła się podczas jednej z wielkanocnych procesji na początku lat 60-tych. Widok był piękny. Na czele kilkanaście kolorowych sztandarów niesionych przez polonusów, za nimi ksiądz Dragosz kroczył pod dużym baldachimem, w końcu śpiewający tłum wiernych.

Okres o którym piszę nie był dla węgierskiego kościoła łatwy. Księżom nie wolno było pokazywać się w miejscach publicznych, a więc na ulicy, w strojach duchownych. Brakowało ministrantów. Rodzice obawiali się aby ich dzieci nie były z tego powodu szykanowane w państwowych szkołach. W polskim kościele do Mszy św. posługiwał ksiądz leciwy polski stolarz - Paweł Abramowski lub Andrzej Łopata. Ten pierwszy był równocześnie opiekunem i zaufanym człowiekiem księdza Dragosza. Pomagał mu w wielu sprawach. Organizował m.in. tradycyjne „jajeczko” czy opłatek.

Gdy ksiądz Dragosz zaniemógł fizycznie i nie potrafił celebrować Mszy świętych wynajęto mu pokój nieopodal kościoła a miejsce na plebanii zajął nowy ksiądz - Węgier. Niedługo później zmarł mając 86 lat. Warto wspomnieć, że pierwszą polonijną parą, która brała ślub w tutejszym kościele byli: Julia Miernicka i Zygmunt Koziarowski. Rok później, w 1944 ich córka - Kryśka jako pierwsza otrzymała z rąk księdza Wincentego Dankę, sakrament chrztu. Podkreślam ów historyczny fakt bowiem kościół nie posiadał wtedy rangi parafii i chociażby z tego powodu nie mógł udzielać tychże sakramentów. Dla upartych i zdeterminowanych wszystko możliwe było do załatwienia. Należało tylko „wychodzić” decyzję zgody węgierskich władz kościelnych.

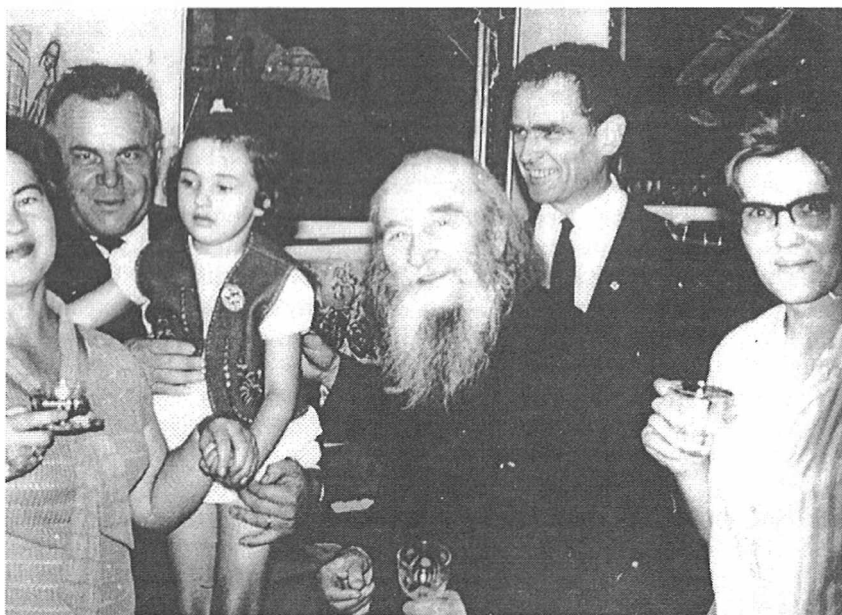
W 1962 roku wraz z Ireną Varsányi odwiedziłam po raz

pierwszy Dom Polski obok kościoła. Od ponad dziesięciu lat tj. od chwili upaństwowienia go, funkcjonował w nim Dom Starców. Wówczas przebywała tu jedna staruszka, Polka z emigracyjnej fali końca XIX wieku, która osiedliła się tu na Kőbányi.

Wspominając panią Irenę, zobowiązana jestem stwierdzić, iż dom państwa Varsányich w Budzie był w tamtych czasach przysłowiową „polską przystanią” dla

pierwszym pracodawcą u którego zarabiałam pierwsze pieniądze na Węgrzech.

Mijały lata. W stowarzyszeniu staraliśmy się „wychodzić na zewnątrz”. Chcieliśmy pokazać Węgrom, że Polonia nie tylko jest obecna w Budapeszcie, ale żyje i działa. Na imprezy zapraszaliśmy sympatyków, znanych ludzi, dziennikarzy i aktorów. Tradycją stało się, że corocznie składaliśmy kurtuazyjne wizyty znanemu artyście-rzeźbiarzowi



István Istók w Stowarzyszeniu

przybywających do Budapesztu Polaków. Nie było nikogo kto by ich nie znał! Pan István, autor słowników polsko-węgierskich, tłumacz literatury pięknej a nade wszystko wspaniały nauczyciel, gromadził wokół siebie nowo-przybyłych rodaków oraz węgierskich polonofilów. Tych pierwszych uczył węgierskiego, tych drugich - polskiego. Jeszcze dziś starsza generacja Węgrów znająca nasz język z dumą podkreśla, że wywodzą się ze „szkoły Istvána Varsányiego”. Mnie zaraz zatrudnił, pomagałam mu w prowadzeniu konwersacji polskiej z uczniami oraz adiustowałam polskie teksty polityczne, które otrzymywał do tłumaczenia. O moim przyjeździe na Węgry dowiedział się od mego przyszłego męża, którego uczył języka polskiego. Tak więc mój nauczyciel węgierskiego był jednocześnie

Istvánowi Istókowi, twórcy pomnika gen. Józefa Bema. Był już wtedy bardzo leciwy, nie wychodził z domu, mieszkał z synem László i jego żoną w IX dzielnicy przy ulicy Ráday. Podczas wizyt z okazji imienin mistrza przyjmowano nas niezwykle serdecznie. Dla nas, jak podkreślał, jego dom był zawsze otwarty. Nosiliśmy się z zamiarem zorganizowania sędziwemu mistrzowi wyjątkowo uroczystego stulecia urodzin. Rozpoczęliśmy przygotowania nawiązując kontakt z Telewizją Polską, Towarzystwem „Polonia”, lecz niestety, nasz solenizant zmarł nieoczekiwanie pół roku przed jubileuszem. Należy odnotować, że był honorowym członkiem naszego Stowarzyszenia. Pochowany jest na cmentarzu Farkasrét.

cdn.

Helena Révész

Wszyscy ludzie dobrej woli ..., czyli pomoc dla powodzian w Győr

Powódź w Polsce. Tragedia. Na pierwsze wyzwanie Czerwonego Krzyża odpowiedzieli najszybciej ci, którym nie jest obojętny los innych. W Győr ogłoszono zbiórke darów dla powodzian. W pierwszym dniu akcji o ósmej rano spotkaliśmy się w klubie kierowanym przez p. Istvána Juhásza, w którym mieści się jednocześnie także siedziba polonijna Stowarzyszenia w Győr. Zgłosiłam natychmiastowe przyłączenie się do akcji przez tutejszą Polonię. P. István Juhász zaproponował, byśmy spróbowali zorganizować kolonie dla dzieci z zalanych terenów. Uzyskaliśmy wstępne poparcie jednego z wiceburmistrzów miasta, p. Ferencza Bakó. Sprawa trafiła do Samorządu Miejskiego - trzeba było wygospodarować odpowiednie środki z budżetu miasta.

Czekaliśmy z nadzieją. Bardzo szybko dowiedzieliśmy się o przychylnym stosunku do akcji burmistrza miasta, p. Józsefa Balógha - mówiło się o możliwości przyjęcia przez Győr 150-200 dzieci z Polski.

Właśnie wtedy zadzwoniła do mnie p. Maria Broś z Ogólnokrajowego Samorządu Mniejszości polskiej z pytaniem: „Co u was z akcją pomocy dla powodzian”? Przedstawiłam jej ogólnie nasze plany, wspominając również o naszej współpracy z wojewódzkim oddziałem Węgierskiego Czerwonego Krzyża. Nasi polonijni ochotnicy dyżurowali tam przy zbiórce darów, po czym pomagali przy ich sortowaniu i pakowaniu.

Dowiedziałam się również, że to właśnie Samorząd Ogólnokrajowy koordynuje akcję pomocy. Wiadomość tę przekazałam do Urzędu Miasta.

Po kilku dniach otrzymaliśmy wspaniałą wiadomość: miasto Győr postanowiło przyjąć na 3-tygodniowe, bezpłatne kolonie 245 dzieci z Wrocławia! Kierownictwo nad realizacją projektu przejął Wydział Oświaty Urzędu



Miasta. Jeszcze tego samego dnia zastępca kuratora, dr László Gubicza zapoznał nas z zarysami projektu.

Zwołałam więc działaczy naszej Polonii, prosząc ich o współdziałanie - naszym zadaniem było przede wszystkim zapewnienie tłumaczy-łączników między węgierskimi i polskimi opiekunami dzieci.

U Kierownika Wydziału Oświaty, p. Imre Olasziego zebrał się wtedy sztab organizacyjny i wykonawczy. Bardzo wielu działaczy nie szczędziło czasu - urlopów, ani energii. Uruchomiono zamknięte na czas wakacji internaty, ustalono dyżury wychowawców. Pukano do wielu drzwi, szukając sponsorów - w ciągle uaktualnianym programie pobytu dzieci stałe przybywało atrakcji. Z nami, miejscowymi Polakami, ustalano jadłospisy, szczególnie uzgadnialiśmy całodobowe dyżury tłumaczy - w ten sposób, że do każdego z trzech internatów na okres trzech tygodni przydzieliliśmy młodych polonusów.

Wszystkim dzieciom - oraz ich opiekunom - zaoferowano bezpłatny wstęp na piękny kompleks basenów w Győr, a MPK wydało dla nich specjalne bilety na przejazd.

Po tygodniu wszystko było go-

towe. Dostaliśmy potwierdzenie z Samorządu Ogólnokrajowego, że Wrocław przyjął naszą ofertę - przyjedzie pięć autobusów z dziećmi i ich wychowawcami.

Autobusy z zalanego Wrocławia przyjechały 4 sierpnia. Prowadziliśmy je aż od samej granicy węgierskiej. Dzieci dostały gorącą kolację, zostały ulokowane w internatach, a my - razem z naszymi węgierskimi przyjaciółmi - pojechaliśmy autobusami pod siedzibę wojewódzkiego oddziału Czerwonego Krzyża, gdzie załadowaliśmy tony darów ofiarowanych przez mieszkańców Győr. W ten sposób autobusy nie wróciły puste. Kiedy autokary odprawiono na granicy węgierskiej, gdzie towarzyszyła im sama Sekretarz WCzK, pani Pongrácz Ferencné oraz nasza pani Anna Németh, minęła już północ.

Wszyscy wiedzieliśmy, że czeka nas bardzo wiele pracy, satysfakcję sprawiało nam jednak to, że możemy pomóc, jak i odczucie prawdziwej, tak często przytaczanej przyjaźni polsko-węgierskiej, którą ciągle nas otaczano.

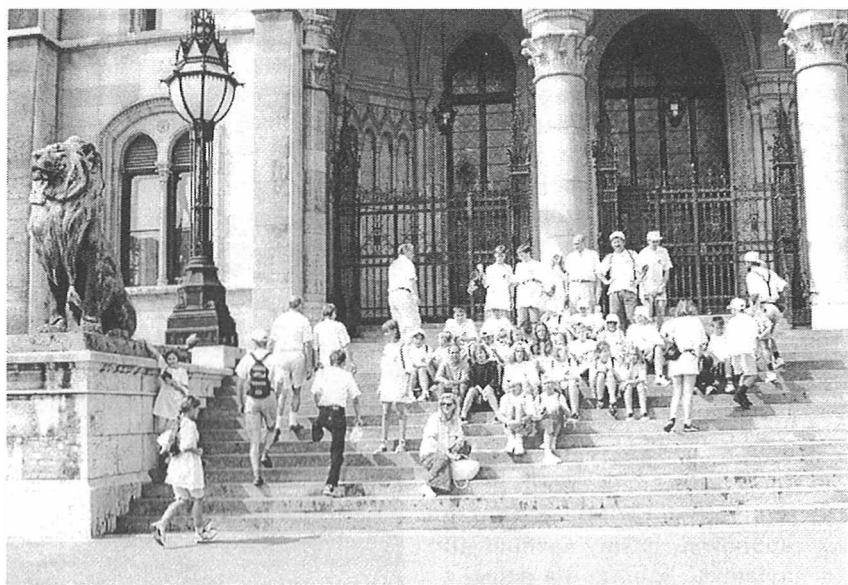
Relacja z wakacji w dalszej części numeru.

Urszula Kollár
Prezes Oddziału SK
im. J.Bema w Győr

Dzieci powodzian w Győr

Pierwszy dzień wakacji w mieście Győr. Jest piękna pogoda, tak jakby również niebo chciało wynagrodzić dotychczasowy chłód i deszcz. Po południu w Sali Reprezentacyjnej Ratusza powitał dzieci prezydent miasta pan József Balogh życząc im udanego pobytu w gościnnym Győr. Prezydent wyraził nadzieję, że to właśnie oni, młode pokolenie będzie w przyszłości podtrzymywać tradycyjną przyjaźń polsko-węgierską. Dzieci zgotowały gospodarzowi miasta spontaniczną owację. Sponsorzy nie przybyli z pustymi rękami: dzieci otrzymały słodczyce, emblematy miasta, a dwudziestu wychowawców - kolorowe albumy miasta. Rozdzielono bilety na przejazd autobusem i bezpłatne karty wstępu na plażę. Udostępniono dzieciom zwiedzenie Ratusza a nawet wejście na jego siedemdziesięciometrową wieżę, z której roztacza się przepiękny widok na okolicę.

Już ten pierwszy dzień zapowiadał, że nie będą to zwykłe wakacje. i rzeczywiście. W czasie pierwszego tygodnia kolonii dzieciaki podzielone na trzy grupy wyjechały na całonocną wycieczkę do Tata. Przez trzy dni (każdego dnia inna grupa) goszczeni byli przez tamtejszą firmę Pannon-Viz w ich ośrodku wypoczynkowym nad jeziorem. Zapewniali przy tym wspaniałe imprezy towarzyszące i doskonałe wyżywienie. Był rejs statkiem, wiele konkursów i zabaw, dyskoteka i pieczenie kiełbasek przy ognisku. W tym samym czasie dla dzieci, które pozostawały w mieście mogły udać się miejscowego Domu Kultury, gdzie organizowano im wiele ciekawych zajęć w różnych kółkach zainteresowań, zwiedzać miasto lub chodzić na plażę. Wszyscy cieszyli się zapewne, że mogli korzystać z kąpielii w termicznych wodach. Wspólnych wyjazdów było wiele, a to do Győrfővár, gdzie rozgrywano zabawy i rozgrywki sportowe, w niedzielę zaś, do Almádi nad Balatonem. Wy-



Grupa polskich dzieci przed Parlamentem

cieczki były okazją spotkania się, podzielenia się wrażeniami oraz nawiązywania przyjaźni. Zawsze towarzyszyła nam grupa młodzieży węgierskiej i polonijnej, dlatego oprócz pięciu stałych autobusów mieliśmy do dyspozycji także mikrobus Urzędu Miasta, aby wszyscy mogli się pomieścić. Każdy dzień pobytu przynosił dzieciom nowe wrażenia i przygody o których mogli napisać w swoich pamiętnikach. Na pewno odnotowali oni pobyt i zwiedzenie 1000-letniego klasztoru w Pannonhalmu, który we wrześniu ub. roku gościł Papieża Jana Pawła II. Równie niezapomniana pozostanie zapewne wycieczka do zabytkowego miasta Sopron położonego tuż przy austriackiej granicy o którym mówi się, iż „najwierniejszym miastem magyarskiej ojczyzny”. Nie zapomną też widoku jeziora Fertőd oraz wspaniałego pałacu księżąt Eszterházych przypominającego Wersal.

19 sierpnia ogromną frajdę sprawił kolonistom powodzianom właściciel miejscowej gazety „Kisföld”, który zafundował im przejażdżkę prawdziwym londyńskim piętrowym autobusem. Innym razem wszyscy poszli na lody, które stawał właściciel tutejszej

cukierni. 20 sierpnia - święto narodowe Węgrów - wielki festyn w Bábolna. Tradycyjne już dni Bábolny z zawodami jeździeckimi, targiem ludowym oraz wesołym miasteczkiem ściągają tłumy publiczności. Całodzienny program kończy pokaz ogni sztucznych, a potem rychło spać, aby po wczesnej pobudce rozpocząć, bodaj najważniejszy dzień ich pobytu na Węgrzech. Tego bowiem dnia udają się na wycieczkę do Budapesztu, gdzie kulminacyjnym punktem programu jest ich spotkanie w Parlamencie z marszałkiem Zgromadzenia Narodowego Węgier panem Zoltánem Galem. Spotkanie to zaszczycił swą obecnością pan ambasador PR. na Węgrzech Grzegorz Łubczyk, pan Konsul Zenon Tarnowski, a także przedstawiciel Polskiego Samorządu Mniejszościowego pani Maria Broś. Byli naturalnie obecni gospodarze i organizatorzy kolonii: pani poseł Szabó Sándorné, kurator Imre Olaszi oraz wicekurator pan Dr László Gubics.

Gmach parlamentu zrobił na wszystkich ogromne wrażenie swym przepychem, samo miasto również. W drodze powrotnej zwiedziliśmy jeszcze piękną bazylikę w Esztergomie.

I tak niepostrzeżenie zbliżaliśmy się do końca kolonii. Aż trudno było uwierzyć, że oto mija dwadzieścia dni od chwili przyjazdu. Wszyscy twierdzili, że nie mieli czasu na nudę, ani nawet na napisanie listu do domu, ciągle bowiem byli czymś zajęci, zawsze coś się działo atrakcyjnego. Na wieczorku pożegnalnym w Domu Kultury im. Petőfi'ego wszyscy byliśmy bardzo wzruszeni. Mali wrocławscy artyści wystąpili z programem przygotowanym w ścisłej tajemnicy. Były piosenki „na głosy”, skecz, taniec i gorące słowa podziękowania dla organizatorów i gospodarzy kolonii. Na koniec czystą węgierszczyzną, z prawie 250 gardeł i serc zabrzmiało: „Az a szép, az a szép, akinek a szeme kék...”

Następnego dnia planowany odjazd opóźnił się o ponad godzinę. Nie mogliśmy się rozstać! Nowi przyjaciele zapewniali sobie, że będą do siebie pisać, wymieniali adresy. Pary „zakochanych” podlotków szepotały sobie coś do ucha. Jedni ukradkiem ocierali płynące łzy, inni szlochali zupełnie jawnie nie ukrawając swego wzruszenia. Wielu z nich zapewniało, że nigdy nie zapomną spędzonych tu chwil i że tu na pewno powrócą!

Akcja pomocy dzieciom powodziń z Polski była wzorowym przykładem solidarności i poświęcenia władz i mieszkańców miasta, w tym tutejszej Polonii. Przekonaliśmy się jaką wspinała mamy młodzież. Ci, którzy nie zawsze mieli ochotę przychodzić na nasze klubowe spotkania, czy uczęszczać na naukę języka, teraz w przyspieszonym tempie sami nadrobili owe straty i byli dumni, że jako okazjni tłumacze mogą być pomocni. Wszyscy całymi dniami pełnili swoje dyżury i przychodzili na każdą prośbę. Rodzina Kozińskich z aktywną Ewą, Anna i Michał Németh oraz Jola i Dominik Magyar byli nieodłączną częścią kolonii. Służyli bezinteresowną pomocą w każdej chwili. I za to wszystko należą się im serdeczne słowa podziękowania.

Urszula Kollár

Dzieci polskie w Pestlőrinc Początki dłuższej znajomości

XVIII dzielnica Budapesztu Pestlőrinc. Mała uliczka o nazwie Bajcsy Zsilinszky, a przy niej Katolicki Dom Młodzieży „Don Bosco”. To tu właśnie znalazło schronienie 40-ciu polskich dzieci, które przyjechały z terenów objętych powodzią województwa katowickiego. Przyjechały zaledwie na tydzień, ale jak mówią, czas to dla nich niezapomniany. Warunki obozowe chyba podobne jak w 80-ciu innych tego typu obiektach na Węgrzech ale tu już w powietrzu czuje się coś nadzwyczajnego.

W XVIII dzielnicy nie ma polskiego samorządu, Polaków zamieszkuje tu niewielu. Są natomiast węgierscy polonofile, jak na przykład pracownica tutejszego Domu Kultury im. Beli Kondora pani Andrea Németh Jánosné, która jest autorką pomysłu i organizatorką obozu. Jak mówi bardzo kocha dzieci i dla nich poświęca swoje życie. Gdy usłyszała w telewizji apel o pomoc dla dzieci polskich powodziń postanowiła zająć się sprawą. W organizacji obozu pomogło jej bardzo wielu sponsorów, ale chyba najbardziej ksiądz Károly Nagy z kościoła Św. Władysława i ksiądz z kościoła pod wezwaniem Św. Stefana, a także sam Dom Kultury, który patronuje obozowi. Tutejszy Urząd Burmistrza pokrył wydatki związane z wyżywieniem.

Program obozu był niesłychanie bogaty. Dzieci odwiedziły Parlament, były na Górze Gellérta i Jánosa, na Wzgórzu Zamkowym, w Kościele Skalnym, w Muzeum Narodowym. Były również na wycieczce nad Balatonem. Codziennie chodziły na pobliski kryty basen pływacki.

Jedną z polskich opiekunek, która przyjechała do Budapesztu jest p. Zuzanna Bień - kierowniczka Oddziału PCK w Bytomiu. To właśnie ona a także p.

Regina Mordarska i p. Ryszard Stańczyk próbowali mi opowiedzieć o polskiej tragedii, o akcji pomocy, o wszystkim co wydarzyło się tam w ostatnich tygodniach. Dzieci były raczej małomównie, zamknięte w sobie. Rzecznikzką ich była 11-letnia Kasia Nawrocka z Bytomia, która powiedziała, że na obozie jest fajnie i chętnie przyjechałaby tu jeszcze raz. Kuchnia węgierska choć inna od polskiej smakowała im. Na stołach, tak jak w domach rodzinnych zawsze stało coś słodkiego albo owoce.

Okazuje się, że trudno było znaleźć chętnych do wyjazdu z domów. Dzieci bały się rozłąki z bliskimi, a po szoku jaki doznały obawiały się, że pogubią się w „wielkim świecie”. Teraz powoli zaczynają się zmieniać, ale do tego potrzeba dużo czasu.

W kościele Św. Władysława na Havanie miała miejsce Msza Św. koncelebrowana za ofiary powodzi. Polacy i Węgrzy modlili się za Polskę.

W pamięci utkwia mi na zawsze słowa pani Andrei wypowiedziane pod koniec naszego spotkania: „...wtedy, gdy ludzie znajdują się w tak wielkiej potrzebie nie sposób jest nie pomóc. Zwłaszcza, że Polaków i Węgrów łączy wielowiekowa przyjaźń”. Powiedziała to z taką zwyczajnością i skromnością, że chyba dopiero teraz, tak naprawdę, uświadomiłam sobie ich znaczenie. Wygląda na to, że wspólnie spędzony tydzień, oprócz wzajemnego poznawania się, stanie się zaczątkiem dłuższej znajomości, ponieważ zarówno pani Andrea jak i pani Zuzanna zamierzają wspólnie zorganizować zimowisko dla dzieci polskich tutaj, zaś latem przyszłego roku, dla młodych Węgrów kolonie w Polsce.

Bożena Bogdańska-Szadai

Węgierska pomoc miastu Bema

Na wieść o tym, że tarnowskie zostało dotknięte powodzią zareagowano w Szolnok - węgierskim województwie zaprzyjaźnionym od kilku lat z tarnowskim. Na początku sierpnia (4.08.) dotarł transport z węgierską pomocą. Węgrzy przed przysłaniem darów kontaktowali się z tarnowskim Urzędem Wojewódzkim. Przedstawiono im listę rzeczy, które są niezbędne w akcji usuwania skutków powodzi. Co prawda nie udało się w szybkim czasie zorganizować dużych motopomp, czy specjalnych odsysaczy, jak wstępnie sugerowano, ale zgromadzono w sumie dary za około 900 tys. złotych.

W ciężarówce, która dotarła do Tarnowa, znalazło się 3900 par wysokich butów gumowych, których brakowało podczas akcji przeciwpowodziowej. Węgrzy przywieźli ponad 200 kompletów specjalnych ubrań wodoszczelnych.

Dary rozpakowane zostały w magazynach Wojewódzkiego Inspektoratu Obrony Cywilnej przy ul. Krzyskiej w Tarnowie. Ich część trafi od razu do służb zajmujących się usuwaniem skutków powodzi, m. in. do straży pożarnej, a część będzie stanowić rezerwę na wypadek kolejnych akcji przeciwpowodziowych.

Bardzo dobrze nam się współpracuje z województwem Szolnok od początku, podobnie zresztą jak i z województwem Heves - powiedziała koordynująca współpracę dyrektor Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Tarnowie, Bar-



bara Kurczab. - Z Szolnok dostaliśmy dar o wartości ponad 1,4 mln. forintów. Z kolei Heves we współpracy z tarnowskim Polskim Czerwonym Krzyżem, zamierza przysłać wkrótce między innymi namioty i koce. Asystent wojewody Szolnok, István Bali, powiedział, że trwa zbiórka darów i pieniędzy w dwóch gminach węgierskich, które wcześniej podpisały listy intencyjne o współpracy z dwiema gminami tarnowskimi: Żegociną i Iwkową. Dary lub pieniądze trafią bezpośrednio do tych gmin. Do Szolnok pojechała grupa dzieci z Iwkowej.

Pod koniec sierpnia natomiast na pięciodniowy pobyt wyjedzie 16-osobowa grupa dzieci z Dębna.

Węgierska pomoc dotarła również do bardzo wielu innych zalanych terenów południowo-wschodniej Polski m.in. na Opolszczyznę, gdzie przybyła specjalistyczny grupa ratunko-

wa. Tam jednak nie udało się znaleźć dla niej zajęcia, co wymagało dobrej informacji i koordynacji. Tego niestety zabrakło. Była to zmotoryzowana ekipa składająca się m.in. z ratowników, płetwonurków zdolnych do akcji w ekstremalnych warunkach, gdy wyczerpują się możliwości wojska i policji. Z powodu niedostatecznie rozwiniętego systemu łączności strony polskiej akcja zakończyła się tylko na przewożeniu wody pitnej i ludzi.

Podsumowując należy jednak dodać, iż Węgrzy, biorąc pod uwagę zamożność kraju oraz liczbę zamieszkujących go mieszkańców są jednym z krajów, które najbardziej do tej pory pomogły Polsce w tych ciężkich teraz dla niej chwilach.

Małgorzata Cybulska
Tarnów

"- Nie umiem stać beczynnym obok"

Pan József Andrassy mieszkaniec XIV dzielnicy Budapeszt. Emeryt lat 47. Zawsze interesowały go sprawy pomocy humanitarnej. Kiedyś przed laty wyjeżdżał do Serbii. Z Polakami do tej pory nie miał styczności, ale wówczas kiedy

telewizja pokazała tragiczne skutki powodzi w naszym kraju, a speakierka odczytała apel wzywający do pomocy Polsce, potraktował to jako osobiste wezwanie.

14 lipca br. już po upływie godziny od ogłoszenia apelu udało

mi się rozmawiać z Károlyem Pálem i od tego czasu codziennie pełnię dyżury w biurze Ogólnokrajowego Samorządu Polskiego. Do tej pory wysłaliśmy do Polski 14 ton ubrań, przedmiotów gospodarstwa domowego, środków czystości i żywności trwałej.

Przychodzili tu różni ludzie, ale wie pani, któregoś dnia zgłosiła się do nas staruszka oznajmiając, że ona też chce pomóc Polakom. Pieniędzy starczyło jej zaledwie na kupno kilku keksów, które przyniosła w plastikowym kubeczku. Wówczas zrozumiałem ogromną starą prawdę, iż ludzie - ci najbiedniejsi - gdy ktoś znajdzie się w potrzebie, starają się szczerze pomóc na tyle na ile sił im staje.

Jestem bardzo małym ogniwem w łańcuchu ludzi dobrej woli. Najczęściej pomagam panu Károlyowi w pracach administracyjnych, odwiedzamy też obozy. Do tej pory zorganizowano ich ponad 80 na terenie całego kraju. Proszę pani, dzieci najczęściej przyjeżdżają w tym co mają na sobie. Zmęczone, nieufne i przestraszone. Wzruszające, że kiedy żegnając Węgry często oprócz podarków, ubrań, zabawek miały lzy w oczach, iż muszą nas opuścić. To dla nas największa podzięką!

Któregoś dnia do biura Samorządu przyszła z babcią 4-letnia dziewczynka. Przyniosła ze



sobą swoje zabawki, które postanowiła ofiarować polskim rówieśnikom. Dołączyła do nich list z prośbą by tak jej służyły do tej pory - stały się radością dla nieznanym dzieci w Polsce. Z podobnym darem serca nie spotkałem się jeszcze nigdy.

Od 10-ciu lat jestem na rencie. Mam astmę i dziwna to sprawa, bo w normalnych warunkach wysiłek fizyczny tej miary zaszkodziłby mojemu zdrowiu, ale teraz jakaś magiczna siła - chęć pomocy - trzyma mnie w dosko-

nałej formie.

Polaków do tej pory nie znałem, a teraz po bliższych kontaktach stwierdzam, że są wspaniałymi ludźmi, religijnymi, miłymi, życzliwymi i umiejącymi w sposób nadzwyczajny docenić drugiego człowieka. Ja przecież nie dla podziękowań tu przyszedłem, ale miło być docenionym. Akcja pomocy polskim powodziom niedługo się zakończy, ale postanowiłem, że zostanę z Polakami na dłużej. Czuję się tu potrzebny i jestem pewien, że klęska, która spotkała Wasz kraj stała się okazją do odnowienia starych - w ostatnich latach nieco przygastych - tradycji wielowiekowej przyjaźni.

Tak sobie myślę, że skoro człowiek się urodził, to niech zrobi w życiu coś pożytecznego. Ja nie potrafię stać beczynnym obok!"

Dziękujemy Ci, panie Józefie za wielkie oddanie i za Polskę.

notowała:

Bożena Bogdańska-Szandi



Károly Pál z Rzecznikiem Praw Mniejszości, Jenő Kaltenbachem

2 bm. w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych RW Podsekretarz Stanu, dr. Gábor Világosi wręczył nagrody Ministra osobom szczególnie zasłużonym w niesieniu pomocy dla ofiar powodzi w Czechach i w Polsce. Wśród kilkudziesięciu odznaczonych znaleźli się przedstawiciele Samorządu: Károly Pál, Maria Broś, Richard Wigodzyk oraz pan József Andrassy.

W uroczystości wziął udział Ambasador RP na Węgrzech, pan Grzegorz Łubczyk oraz Przewodniczący Ogólnokrajowego Samorządu Mniejszości Polskiej na Węgrzech, pan Konrad Sutarski.

Wyróżnionym serdecznie gratulujemy!

O akcji pomocy dla powodzi piszemy w tym numerze bardzo dużo. Nie oznacza to jednak, że temat ten nie powróci na szpalty następnego numeru. Jesteśmy bowiem świadkami wydarzeń, które na trwałe zapiszą się w historii naszych narodów. Spontaniczna, bezinteresowna i szczerą chęć niesienia pomocy „bratankom” ogarnęła całe społeczeństwo węgierskie. Nazwisk większości ofiarodawców naturalnie nie znamy, wiemy natomiast, że wśród nich są ludzie z różnych warstw społecznych, biedni i bogaci, intelektualiści i „zwykli obywatele”, starzy i młodzi. Na wyodrębnione konto „Pomocy dla powodzi” założone przez Ambasadę RP w Budapeszcie wpłynęło łącznie ponad 3 miliony forintów. Były to najczęściej drobne kwoty wpłacane przez pojedynczych obywateli (wśród nich wielu emerytów i rencistów) oraz niewielkie instytucje, jak szkoły, samorządy, kluby, fundacje oraz różnego rodzaju organizacje.

Na początku września br. bank potwierdził nadejście przekazu pieniężnego na kwotę 100 tysięcy forintów na powyższy cel od Prezydenta Republiki Węgierskiej, dr Árpáda Göncza. Wpłaty tej dokonał jako osoba prywatna.

- Dziękujemy!

J.K.

KALEJDOSKOP

Tradycyjnie jak co roku w dniu wybuchu II wojny światowej przedstawiciele polonii węgierskiej złożyli wieńce i wiązanki kwiatów na grobie Józefa Antalla seniora. W tegorocznej uroczystości, której organizatorem od wielu lat nasze stowarzyszenie wzięła udział córka „Opiekuna Polaków” pani Héjj oraz Ambasador RP pan Grzegorz Łubczyk. Prezes stowarzyszenia - Alicja Nagy - w krótkiej mowie przypomniała zasługi Antalla, który dla nas - Polaków - pozostanie symbolem wielowiekowej przyjaźni. Pani Héjj ze wzruszeniem dodała, że „bratankowie znad Wisły nigdy o Nim nie zapomnieli i dziękują im za to”.

Nie przypadkowo na nagrobku zmarłego w 1974 roku Józefa



Antalla widnieje napis: **POLO-NIA SEMPER FIDELIS**, co oznacza: - Polska zawsze wierna.

Z serii wydawniczej „Nasz Budapeszt” ukazała się książka członka naszego Stowarzyszenia, węgierskiego polonofila pana dr László Prohaszki. Najnowsza praca nosi tytuł: „Pomniki Jeźdźców”. Autor dowodzi, iż stolica ich, posiada największą liczbę, owych publicznie wystawionych arcydzieł, na świecie. Odlane w brązie rzeźby bohaterów siedzących na koniu stanowią nierozzerwalny element dzisiejszej panoramy naddunajskiej metropolii. Po Petersburgu i Rzymie właśnie tu możemy podziwiać najpiękniejsze przykłady monumentalnych rzeźb opartych na antycznych wzorcach, których orędownikami byli włoscy mistrzowie renesansu. Należy tu dodać, że pan Prohaszka jest również autorem pracy o polonikach w stolicy Węgier, która ukaże się niebawem staraniem Ogólnokrajowego Samorządu Polskiej Mniejszości.

W dniach 24 - 31 sierpnia tego roku odbyła się w Lublinie Światowe Igrzyska Polonijne. Nawiązywały one do rozpoczętej w 1934 roku sportowych spotkań młodych Polaków z zagranicy. Igrzyska w mieście, które obcho-

ROZCHNICE

- 20 lat temu** powstał Centralny Związek Organizacji Polonijnych w Szwecji,
- 50 lat temu** powołano Polski Związek Kulturalno- Oświatowy w Czechosłowacji
- 75 lat temu** utworzono Związek Polaków w Niemczech,
- 150 lat temu** w Warce urodził się Kazimierz Pułaski, jeden z najwybitniejszych partyzantów Konfederacji Barskiej, dowódca Legionu walczącego o wolność Stanów Zjednoczonych, bohater tego kraju, na cześć którego odbywają się tam corocznie uroczyste defilady.
- 450 lat temu** w Krakowie odbyła się koronacja Kazimierza Jagiellończyka, syna Władysława Jagiełły, na króla Polski; w 13-letniej wojnie z Krzyżakami odzyskał Pomorze Gdańskie.
- 1000 lat temu** w zapiskach kronikarza zakonu benedyktynów opisującego historię śmierci Świętego Wojciecha wymieniona zostaje po raz pierwszy nazwa grodu u ujścia Wisły - Gdyddanyzc - dzisiejszego Gdańska.

Zebrał: J.K.

dzi właśnie jubileusz 680-lecia nadania mu przez Władysława Łokietka praw miejskich, są IX z kolei. Najczęściej gospodarzem Igrzysk był Kraków. W tegorocznych Igrzyskach, które odbyły się pod patronatem Prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego wzięły udział delegacje czterestu krajów. Polonię węgierską reprezentowało sześciu młodych sportowców. Zdobyli łącznie siedem medali w tym dwa złote: Olivia Ranyi w tenisie i Mariusz Ciupa w pływaniu.

Gratulujemy!

Fundacja „Pegasus” z Hamburga ogłosiła wiosną tego roku międzynarodowy konkurs literacki na polski wiersz z Emigracji. Tematem konkursu jest: „Miejsce, w którym jestem”. Organizatorzy liczą, że wezmą w nim udział poeci polscy w wieku do 45 lat mieszkający i tworzący poza Krajem. Nagrodą będzie przyznanie złotego, srebrnego i brązowego Pegaza

w asyście pieniężnego przekazu wysokości 1,5 - 1 oraz 0,5 tys. DM. Publiczna prezentacja nagrodzonych (oraz wybranych) utworów na imprezie pt. POETYCKIE ZADUSZKI - HAMBURG '97 w dniu 31 października 1997 roku. Dla zainteresowanych konkursem podajemy, że adres Fundacji na który należy przesłać pracę jest do dyspozycji w redakcji „Głosu”.

Zebrał: J.K.

Arbuzy z Csány

Łacińska nazwa rośliny o olbrzymich owocach dochodzących do wagi 20 kilogramów, którego słodki orzeźwiający miąższ uwielbia każde dziecko - brzmi: *colocynthis citrullas*. Pospolicie zwany u nas - arbuzem - należy do rodziny roślin dyniowatych i pochodzi z tropikalnych obszarów Afryki.

Do Europy sprowadzono ją bardzo wcześnie. Już starożytni ludy wybrzeża Morza Śródziemnego uprawiali te niezwykle soczyste owoce, akumulujące ogromne ilości wody, które skutecznie gasiły pragnienie. Głównymi prekursorami ich uprawy w tym rejonie byli Grecy. Być może z tego powodu arbuz zwany jest na Węgrzech jako „greckie dynie”. Niegdyś, sadzony w ogrodach magnatów był południowym delikatesem, dziś uprawiany intensywną metodą przemysłową stanowi letnie urozmaicenie owocowego rynku.

Zadomowił się na Węgrzech wysmienicie. Obszar na południe od Budapesztu między Dunajem a Cisą tworzy idealne warunki dla uprawy arbuzów. Roślina ta lubi bowiem piaszczystą glebę i duże nasłonecznienie, nie znosi cienia oraz nadmiernych opadów.

W pobliżu miejscowości Csány, której nazwa stała się renową jakości arbuzów, znajduje się Instytut Ogrodniczy stanowiący filię Akademii Rolniczej w Gödöllő. To właśnie tu prowadzi się od wielu lat prace nad uszlachetnieniem tej rośliny. Specjaliści starają się wyhodować odmiany bardziej trwałe,

odporne na wahania temperatury, z większą zawartością cukru i soli mineralnych. Mają na tym polu wiele sukcesów. Na Węgrzech uprawia się obecnie ponad piętnaście odmian różniących się między innymi kształtem, kolorem zewnętrznym i wewnętrznym. Są więc arbuzy okrągłe i podługne, są zielone i jasno zielone, są gładkie i prążkowane. Miąższ ich może być czerwony lub żółty itd.

Z powyższym tematem wiąże się dość smutne zdarzenie, które znalazło oddźwięk w tutajszych środkach masowego przekazu. W sierpniu ubiegłego roku w Csány zorganizowano sympozjum specjalistów i plantatorów arbuzów. Spotkanie miało być połączone z prezentacją najnowszych odmian uprawianych na poletku doświadczalnym instytutu. Niestety z tej części programu organizatorzy zmuszeni byli zrezygnować. Kilka dni przed sympozjum, ku wielkiemu przeżaleniu pracowników instytutu, w przeciągu kilkunastu minut ich całoroczny trud legł pastwą olbrzymiej chmury wron i szpaków. Spragnione długotrwałym upałami ptaki masowymi dziobami podziurawiły owoce

niszcząc doszczętnie plantację. Taki desperacki atak wron należy do rzadkości a w konkretnym przypadku strata jest tym większa, iż chodzi o nowe, żmudnie pielęgnowane odmiany.

Sezon na arbuzy to sierpień i wrzesień. Na licznych bazarach i warzywniakach piętrzą się wówczas góry potężnych kul. Nikt tu nie kraje je na kawałki, każdy niemal klient kupuje cały: większy lub mniejszy. Tutejszy nabywca zna się na tych owocach. Potrafi prawie bezbłędnie rozróżnić, który jest dojrzały i słodki. Najpierw ogląda go starannie i opukuje (dojrzały owoc po lekkim uderzeniu daje głuchy, specyficzny dźwięk, a w dłoni czuje się drżenie miąższu), następnie prosi sprzedawcę o wykonanie wycinku. Polega to na tym, że specjalnie zaokrąglonym nożem robi się walcowate wyżłobienie biegnące w głąb owocu. Tak wydobyty miąższ arbuzów daje do skosztowania klientowi. Ten ocenia czy owoc jest dostatecznie słodki, jeśli tak, kupuje, jeśli nie, cały proces zaczyna się od początku. Raz wyżłobiony arbuz nikt nie kupi, sprzedawca przeznaczając go na stratę. No cóż, ryzyko handlu. Często widać więc obok straganów stertę w ten sposób „podziurawionych” owoców, które najprawdopodobniej trafią do jednej z licznych farm świń.

Szkoda, że arbuzów nie można „zadomowić” w Polsce. A może dałoby się, gdyby specjaliści zajęli się tym tematem, wszak i klimat nam się zmienia ...

J. K.

Z LISTÓW DO REDAKCJI

Szanowna Redakcjo!

Przesyłam państwu list dotyczący jedynej laickiej patriotycznej rozgłośni w Polsce, która dąży dziś do poszerzenia skali wzajemnej komunikacji Polaków dla dobra ojczyzny.

Pragniemy, abyście jego treść zaprezentowali swoim czytelnikom, którym zapewne nie jest obojętny los Polski, a także, jeśli uznacie państwo to za budujące, prosimy o łączność z nami.

z poważaniem
Maciej Szproch
współpracownik
Radia Jutrzenka
Warszawa

„Jutrzenka dla Polski”

Polskie Radio Jutrzenka - rozgłośnia Światowej Federacji Kombatantów Polskich im. Stefana Grota Roweckiego - którego twórcą i fundatorem jest dr Andrzej Cielecki, żołnierz AK, uczestnik Powstania Warszawskiego, wybitny specjalista w dziedzinie optoelektroniki - od piętnastu lat stoi na straży naszych narodowych polskich imponderabilów. Ogniskuje wokół siebie tych, którzy pamiętają i tych, co wiedzą jakie wartości, w obliczu dzisiejszych trendów unitarnych i ekspansji, nie tylko niemieckiej, wyróżniają nas, Polaków; czego nie wolno nam zapomnieć i co dla nas jest naprawdę ważne.

Dzięki „Jutrzence” możemy zrozumieć działanie zdradzieckiej pokretności rodzimych i podstępów obcych sił politycznych, których istnienia nie sposób dziś nie zauważyć - przyglądając się choćby kondycji Polaków w ojczyźnie.

Rzadko dr Cielecki myli się w przewidywaniach, wnioski opiera na swym naznaczonym

i krwią patriotyzmie, doświadczeniu, dobrej pamięci, talentom twórczym oraz wiedzy innych wybitnych, przez co „Jutrzenka” ujawnia nam prawdziwe oblicza polityki i jej ludzi.

Znamiennie dla dzisiejszej polskiej tzw. demokracji jest zastępowanie cenzury socjotechniczną manipulacją świadomości ludzkiej na niespotykaną skalę - dowodzi to istnienia patologii w samych już założeniach takiej wolności-demokracji.... Masz wolną wolę, kierujesz się więc własnymi przekonaniem, ale (niestety) opierać się musisz na danych - tak preparowanych fragmentach rzeczywistości, abyś nie mógł zauważyć istoty problemu, a nawet samego problemu. Owo preparowanie rzeczywistości odbywa się nie tylko w środkach masowego przekazu, ale i poprzez nieustające zajmowanie uwagi obywateli najprzeróżniejszymi

„usprawnieniami”, groźbami, z drugiej zaś strony - pustymi rozrywkami. W jakim celu dezinformuje nas ktoś odpowiedzialny za owe zabiegi? Komu zależy dziś na szerzeniu dezinformacji, także w sferze podstawowych dla narodu wartości?...

Polacy odcięci dotychczas od świata komunistycznym murem, wystawieni bez żadnego przygotowania na zmasowany atak propagandy będącej w istocie narzędziem określonych, klinicznie nieuczciwych sfer nacisku, propagandy posługującej się perwersyjnymi metodami (wykorzystującej także oddziaływania podprogowe) nie mieli szans, nim się zorientowali sprzedano na zatarę polski przemysł, a teraz przychodzi kolej na ziemię.

Imponderabilia narodu polskiego, nasze serca, ufność,

wiara, język, spuścizna kulturowa, stale są ośmieszane. Wielu rodaków przyzwyczaiło się do tego i nie reaguje na owe akty antypolonizmu. To ogromny błąd!

Milczenie w Tej materii, doprowadzając do niewiedzy młodzież, spowoduje narodową amnezję; to, czy nasza ojczyzna przetrwa, zależy od nas, którzy jesteśmy świadomi zagrażających naszej polskości ekspansjonistycznych zapędów wrogów Polski. Podstawą w osiągnięciu skuteczności w odbudowie kraju jest komunikacja, łączność pomiędzy Polakami we wspólnym działaniu.

Radio Jutrzenka - które niezmiennie od ponad piętnastu lat jest bastionem w walce o polską tożsamość narodową - będąc niewielką ale za to jedyną tego typu rozgłośnią w kraju, zwraca się do osób mogących i chcących nawiązać z „Jutrzenką” współpracę.

współpracownik i entuzjasta
Radia Jutrzenka
Maciej Szproch

Zainteresowanych serdecznie proszę o kontakt:

Maciej Szproch
ul. Kopcińskiego 9/95a
02777 Warszawa
tel./fax: (22) 6433287

Radio Jutrzenka

emituje swe programy
w paśmie 98,1 Mhz
od poniedziałku do
piątku, w godzinach:
od 10. do 13. i od 21. do 23.
Swym zasięgiem
obejmuje obszar
wielkiej Warszawy.
tel./fax: (22) 6431040

Sylwetki działaczy polonijnych "Pani Julia"

Piszę „pani”, bo Julia swoją indywidualnością budzi zawsze szacunek otoczenia. Jej postawa jest pełna osobistej godności. Choć jest już w zaawansowanym wieku i ma „bielusienkie” włosy, żyje aktywnie w polonijnym gronie na Kőbányi. Zawsze pomoże, jeśli ktoś o to poprosi, nie lubi się narzucać.

Rodzice Julii - Anna i Władysław Mierniccy - wyemigrowali w czasie I wojny światowej z Myślenic na Węgry w poszukiwaniu chleba. Przyjechali wprost do Budapesztu z trójką małych dzieci, a następna trójka, urodziła się już tutaj, „na Kőbányi”. Tu właśnie otrzymali pracę i mieszkanie u jednego spośród trzech tamtejszych właścicieli cegielni. Co więcej, pracodawca zapewniał wówczas nawet bezpłatne wyżywienie. W 1923 roku urodziła się jako ostatnia w licznej rodzinie - Julia. Rodzice zadbali, aby wszystkie dzieci uczęszczały do szkoły węgierskiej ale także utrzymywały znajomość języka ojczystego. W domu oczywiście mówiono wyłącznie po polsku, węgierskiego uczyły się na podwórku, podczas zabaw, no i, w szkole. Organizatorką „Polskiej Kolonii” była nauczycielka języka polskiego pani Stefania Dluhy, która zbierając grupy chętnych uczniów dawała im nauki w prywatnych mieszkaniach. Naukę religii dzieci również pobierały w domach. Raz w tygodniu do mieszkania państwa Miernickich przychodził ksiądz Wincenty Danek, bowiem ich mieszkanie było w okolicy największe, gdzie nauczał katechizmu grupkę tu-tejszej diatwy. Owe fakty można zatem przyjąć jako zaczątki rodzenia się życia polonijnego w tej części stolicy.

Julia bardzo dobrze mówi po polsku. Z sześciorga rodzeństwa żyje obecnie jedynie mająca 90



lat Maria i 83-letni Józef. Oni też nie zapomnieli polskiego języka. Pani Julia jest jedną z pierwszych członkiń powstałej na Kőbánya organizacji Związku Harcerstwa Polskiego. Do dziś dumna jest z posiadanej legitymacji noszącej datę wydania 15 wrzesień 1935 roku. Podobnie jak wszyscy z jej rodzeństwa tańczyła i śpiewała w tutejszym zespole polskim. W pierwszej połowie lat 30-tych wszyscy zamieszkali tu Polacy budowali kościół oraz Polski Dom, czyli przykościelną świetlicę. Ksiądz Danek był ich najwyższym autorytetem i przyjacielem. Senior Władysław Miernicki, z zawodu stolarz i cieśla, był wówczas „nadwornym” budowniczym i konserwatorem owego kompleksu.

Pani Julia dostała zaszczytu, że jako pierwsza Polka brała ślub w kościele polskim z Zygmuntem Koziorowskim żołnierzem Września - w 1943 roku. Błogosławieństwa udzielił im, schorowany już wówczas, ksiądz Wincenty Danek. Jest

matką trojga córek. wszystkie mówią po polsku. Nauczyły się go w domu, a doskonaliły uczęszczając na lekcje prowadzone przez panią Irenę Varsányi.

Dzisiaj, jako seniorka polonijna, członek-założyciel naszego stowarzyszenia oraz powstałego przed paroma laty Stowarzyszenia Katolików Polskich p.w. Św. Wojciecha posiada optymistyczne widzenie w przyszłość: widzi się jej zespół tańców ludowych, twarze dzieci w harcerskich mundurkach, a będąc w kościółku, chciałaby widzieć rzędy wypełnionych ław, które kiedyś zajmowali jej rodzice w otoczeniu sześciorga dzieci podczas Mszy Świętej.

Przepracowała 36 lat w Zakładach Włókienniczych na Kőbánya, trzykrotnie otrzymała wyróżnienie „Zasłużonego Pracownika” (Kiváló Dolgozó), czym się również szczyci jako Polka.

Helena Révész

MAGYARORSZÁGI BEM J. LENGYEL
KULTURÁLIS EGYESÜLET

POLSKIE STOWARZYSZENIE
KULTURALNE IM. JÓZEFA BEMA
NA WĘGRZACH



TAGSÁGI IGAZOLVÁNY

LEGITYMACJA CZŁONKOWSKA

Nie tylko słowiańska uroda

Blond włosy, piękne niebieskie oczy i bardzo słowiańska uroda – tak można by w paru słowach nakreślić portret Wandy Szyksznian, która od wielu lat znajduje się w czołówce węgierskich artystów grafików i malarzy. Niektórzy przedstawiciele Polonii mieli okazję spotkać się z nią osobiście, na spotkaniu w Stowarzyszeniu Bema z cyklu Rozmów z polskimi artystami osiadłymi na Węgrzech. Comiesięczne spotkania organizowane były przez Forum Twórców Polonijnych, które powstało z inicjatywy przewodniczącego Samorządu Mniejszości Polskiej, Konrada Sutarskiego.

Tytuł cyklu nie za bardzo do mnie pasuje – prostuje artystka. Nie jestem polską artystką osiadłą na Węgrzech. Urodziłam się, wychowałam i wykształciłam w Budapeszcie. Ale chociaż nie mówię po polsku, jestem pół Polką, pół Węgierką. Ojciec mój był Polakiem z Wilna, który przybył na Węgry jako oficer – uchodźca wojenny w 1939 r. Tu poznał moją matkę, wówczas 16-letnią uczennicę i... zakochał się w sobie. Dopiero po trzech latach mogli się pobrać. Jedynym owocem ich miłości jestem ja. W Stowarzyszeniu podczas spotkania okazało się, że na sali obecna była pani Tamara Fijałkowska, która знаła moich rodziców z czasów, gdy mama była ze mną w ciąży. Boże,



ile to już lat! Ogromnie się wzruszyłam. Już choćby dlatego warto było przyjść na to spotkanie, które znów wprowadziło mnie w świat dzieciństwa, młodości... Tata umarł w 1966 r. w wieku zaledwie 56 lat, mama natomiast w 1990 r. Swoim spotkaniem w Stowarzyszeniu Bema, które ojcu było tak bardzo bliskie, chciałam złożyć mu hołd i przypomnieć go młodszej Polonii. Ostatnim jego życzeniem było, by go pochować na polskiej parceli cmentarza w Rákospalotán.

- A więc te najbardziej polskie, jak len oczy – jak to pięknie określił znany artysta malarz, dyrektor Galerii PESTI CENTER, Attila Csáji, odziedziczyłaś z pewnością po ojcu.

- Rzeczywiście ojciec, bardzo

przystojny, spokojny mężczyzna był blondynem o niebieskich oczach. Ale i moja mama przy czarnych włosach miała piękne, chabrowe oczy. Była ona osobą wesołą i utalentowaną. Będąc pedagogiem w przedszkolu grała na skrzypcach, śpiewała, ręcznie szyła, tkala, haftowała. Szkoda, że nie skończyła żadnych studiów artystycznych, ale w wieku 11 lat straciła matkę i musiała zająć się młodszym bratem. Istvánem Laborcsem. Przez wiele lat był on solistą Opery w Grazu. Obecnie jest już emerytem i bardzo często przyjeżdża do Budapesztu. Wuj mamy, Antal Héttvégi, był natomiast artystą malarzem. Tak więc zdolności artystyczne odziedziczyłam po mamie. Tata zawsze pragnął, bym została artystką. Niestety, umarł kiedy byłam w klasie maturalnej. Myślę jednak, że byłby dumny z tego, co robię i co osiągnęłam.

Do 13 roku życia uczyłam się gry na fortepianie i podobno rokowałam nawet pewne nadzieje. Świadomie jednak zostawiłam muzykę. Po prostu byłam osobą bardzo niecierpliwą. Nie odpowiadało mi, że muzyka jest taka ulotna, że nic po mnie nie zostaje. Zaczęłam rysować. Już wtedy postanowiłam zostać grafikiem. Pasją moją stał się plakat. Jeszcze przed maturą niektóre moje prace doczekały się publicznej prezentacji w książce mojego nauczyciela rysunku, Zoltána Szalai Od klocków do aktów. Na studia plastyczne zostałam przyjęta...bez matury z matematyki, która była zawsze moją piętą achillesową. Dopiero za rok, studiując udało mi się zdać tę nieszczęsną matematykę. Na studiach byłam w swoim żywiole. Rozpierającą mnie energię wyladowywałam w pracy. Robiłam mnóstwo reklamowych materiałów graficznych dla węgierskich muzyków. Muzyka miała i ma duży wpływ na moją twórczość. Czuję się człowiekiem, którego nie można ująć w jakiegokolwiek ramy, człowiekiem artystycznie wolnym. Odbieram i szukam wolności w sztuce chyba tak, jak to czynią Polacy. Zapewne jest



to wynikiem wychowania. Od dziecka pozwalano mi na wszystko. Robiłam tylko to, co chciałam. I to mi pozostało do dzisiaj.

- Jako, renomowana artystka, której wystawy odbywają się raz po raz i to nie tylko na Węgrzech, w pewnym momencie ze smutkiem powiedziałaś, że jesteś bezrobotna.

- Miałam ok. 20 wystaw indywidualnych na Węgrzech i za granicą. Najwięcej, bo 9 w Niemczech. Grupowych wystaw nie potrafię już nawet policzyć. Ciągłe mam jakieś zaproszenie na wystawę, nie wszystkie jednak przyjmuję, bo przygotowanie wystawy pochłania mi mnóstwo czasu, energii i pieniędzy. Na każdej wystawie staram się przedstawić zawsze nowe prace, a tych jest coraz mniej ze względu na brak takiej ilości zamówień, jak to było przed laty. Robiłam wówczas mnóstwo ilustracji do książek, obwolut, plakatów filmowych, muzycznych, kalendarzy. Dawałam

nawet systematycznie pracę trzem koleżankom. Teraz dużo pracy mają tylko ci graficy, którzy potrafią przestawić się na pracę na komputerze. Sama tego nie potrafię, dlatego muszę pracować zawsze z kimś. Obecnie mam zamówienie na kalendarze dla dzieci. Ogromnie mi się ta praca podoba i mam nadzieję, że i wydawnictwo będzie miało pieniądze na ich wydanie. Skończyłam właśnie grafiki o Balatonie, czego na szczęście nie można było wykonać przy pomocy komputera. Mam też kilka zamówień na portrety olejne, które maluję z wielką przyjemnością.

- Kiedy właściwie pracujesz i gdzie?

- Wydawałoby się, że teraz powinnam dysponować większą ilością wolnego czasu. Ale tak nie jest. Jest tysiące rozmaitych spraw organizacyjnych, które muszę załatwiać w ciągu dnia. Dlatego przynajmniej weekendy staram się poświęcić na własną twórczość. Pracuję w domu w

Budapeszcie (piękne mieszkanie na Rózsadomb - p.r.) i w swojej pracowni w Szigligecie. Zupełny brak pracy oznaczałby dla mnie śmierć. Zabierając się do każdej nowej pracy chcę udowodnić sobie i innym, że teraz na pewno uda mi się stworzyć prawdziwe dzieło. I takie uczucie trwa kilka dni, po czym przychodzi nowa praca i nowe wyzwanie. Warto żyć, dopóki to jest. Największym szczęściem w życiu artysty jest proces tworzenia i zmęczenia pracą.

Z żalem jednak muszę stwierdzić, że prawdziwa sztuka jest spychana coraz bardziej na margines życia i jest coraz mniejsze zapotrzebowanie na nią. Jest coraz mniej ludzi, którzy mogą pozwolić sobie na zakup dzieła sztuki, a nowobogacy zadawają się kiczami. I dlatego dla prawdziwych artystów będzie coraz mniej pracy.

Notowała: Alleja Nagy

Polki w Węgierskiej Bibliotece Narodowej

Każdy turysta zwiedzający Budapeszt, zauważy na pewno wznoszący się na Górze Zamkowej imponujący budynek Zamku Królewskiego. Z łatwością dowie się z przewodnika, że mieści się tam Węgierska Galeria Narodowa i inne muzea, ale zapewne nieczęsto otrzyma informację o tym, że od 1984 roku całe skrzydło tego potężnego gmachu zajmuje Biblioteka Narodowa im. Széchényiego.

Budynek ten wewnętrznie został przystosowany do potrzeb biblioteki i liczy osiem kondygnacji. Zbiory biblioteczne są największe w kraju - wynoszą ponad 7 milionów egzemplarzy książek, czasopism, map, nut itp., odnoszących się głównie do kultury węgierskiej. W bibliotece mieszczą się m.in. dział rękopisów, starodruków, historii, teatru, muzyczny, kartograficzny, gromadzenia i opracowywania zbiorów, dział centralnych służb bibliotecznych, a także pracownice konserwatorskie. Obszerne Czytelnie mogą służyć jednocześnie około 700. czytelnikom. Czytel-



niem może być każdy, kto ukończył 18 lat i wniesie odpowiednią opłatę. Ze względu na specyfikę zbiorów, można z nich korzystać jedynie na miejscu. Jest także możliwość zwiedzania biblioteki po uprzednim zgłoszeniu się i ustaleniu terminu.

Jak wiadomo, wszędzie na świecie można spotkać Polaków. Tak jest i tutaj. W Bibliotece Narodowej

pracują obecnie trzy Polki: Alicja Csecserits, Anita Goc-Pap i Elżbieta Byczyńska.

Alicja Csecserits:

Na Węgrzech mieszkam z przerwami od 1966 roku i tu ukończyłam studia filologiczne. W tym czasie poznałam swojego przyszłego męża - Węgry i postanowiliśmy, że zamieszkamy na stałe na Węgrzech, ponieważ mnie, znającej języki łatwiej się jest zaadaptować w nowym środowisku. Biblioteka Narodowa chętnie zatrudniła mnie w sekcji obcojęzycznej działu opracowań książek, ponieważ poszukiwano osób ze znajomością kilku języków obcych, a w szczególności języków słowiańskich. W tym dziale pracuję od 1977 roku po dzień dzisiejszy. W moim dziale, prócz książek obcojęzycznych, opracowuje się również książki wydane na Węgrzech.

Ciąg dalszy na 23 stronie

Moje okupacyjne przeżycia

Zbliżał się koniec sierpnia 1939 r. Coraz częściej mówiono o wojnie i mobilizacji.

Mój mąż kapitan rezerwy 58 pułku piechoty, już wcześniej zmobilizowany, dostaje w nocy pierwszego września rozkaz wyjazdu do Radomia, dokąd razem z majorem Figarzewskim musieli prowadzić transport umundurowań.

Wyjazd miał nastąpić wraz z rodzinami - natychmiast.

Spakowałam się pośpiesznie i z matką ruszyliśmy pociągiem ewakuacyjnym w kierunku Warszawy. W drodze zostaliśmy zbombardowani przez lotnictwo niemieckie. Naloty bombowe towarzyszyły nam przez całą drogę. W Radomiu było tak gwałtownie, że po opuszczeniu pociągu i schronieniu się w okopach, dłuższy czas nie mogliśmy się z nich ruszyć. Uszliśmy z życiem, ale pociągi zostały kompletnie rozbite i wszystkie nasze bagaże zginęły.

Po dwudniowym pobycie w Radomiu nastąpiła dalsza ewakuacja wojska i ich rodzin przez Lublin, Zamość, do Lwowa i dalej do Worochty (podaję miejscowości według ówczesnego nazewnictwa i granic państwowych, w jakich się znajdowały).

Na południe od Lwowa, zwłaszcza w Śniatyniu, ostrzelali nas faszyci ukraińscy.

W Worochcie rozegrała się jedna z tragiczniejszych scen wojennych. Zmęczeni, zrozpaczeni, często ranni żołnierze składali na granicy broń i wracali do domu. Inni, zdecydowanie z bronią w rękę, przechodzili granicę węgierską.

Tu nastąpiło rozstanie z mężem, który dołączył do grupy żołnierzy zamierzających dalej, w pełnym rynsztunku, prowadzić



Archiwalne zdjęcie grupy polskich uchodźców

walkę z najeźdźcą.

Wobec ciągłych ataków Ukraińców, zdecydowałam się również przekroczyć granicę węgierską. Tak się szczęśliwie złożyło, że spotkałam kolumnę transportową Polskiego Czerwonego Krzyża, kierującą się na granicę węgierską. Prowadził ją dr Józef Smoliński, postać znana i popularna w ówczesnym i powojennym Poznaniu.

Pozwolił mnie i mojej matce zabrać się z transportem do węgierskiej miejscowości Rahó. Dalej już polskimi autobusami wojskowymi dojechalśmy do Beregszászu, gdzie znalazłam gościnę u sędziego - Węgra. Mimo serdecznego przyjęcia rzeszy polskich uchodźców przez Węgrów, Polacy bardzo dotkliwie przeżywali porażkę. Na mszy polowej odprawianej w Beregszász, podczas śpiewania hymnu narodowego i „Boże coś Polskę”, rozległ się szloch żołnierzy i cywilów.

Za radą węgierskiego pułkownika, kierującego przetrzutami polskich wojsk przez granicę polsko-węgierską, przecze-kałam okres największego nasilenia przemieszczania się wojska i cywilów, żeby podstawionymi polskimi autokarami dostać się do Budapesztu. W drodze byliśmy bardzo serdecznie witani przez

ludność węgierską, która zносиła nam żywność, słodczyce i owoce.

Była już druga połowa września 1939 roku, kiedy przywieziono nas do Budapesztu do koszar na Üllői út. Wśród osób spieszących z pomocą zgromadzonym tu uchodźcom znajdowała się również żona konsula węgierskiego pani Hidowa (ona Polka, mąż Węgier), którą znałam z Poznania. Dzięki niej

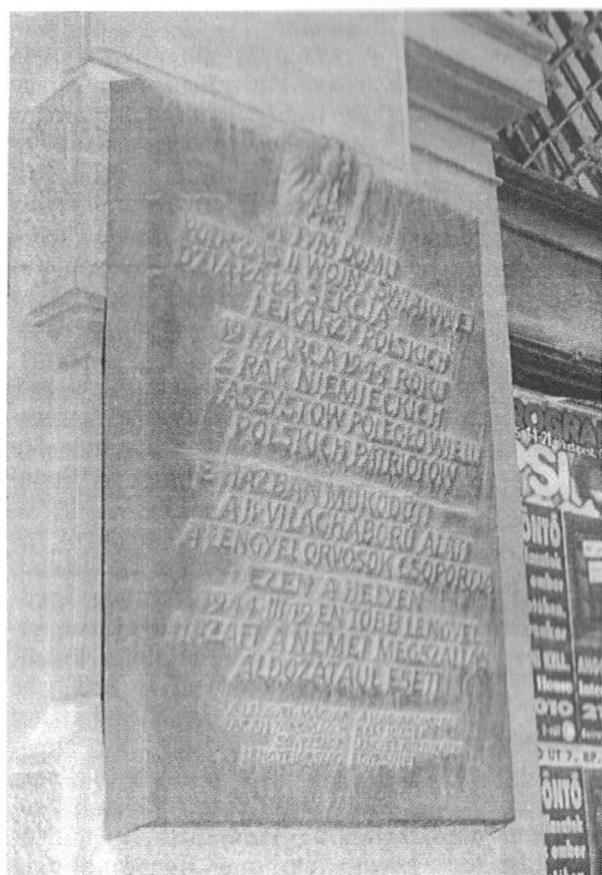
szybko dostałam się do hotelu Metropol na Rakoczy út, gdzie przebywałam dwa miesiące.

Hotel zamieszkiwało wówczas wielu Polaków, cywilnych i wojskowych, utrzymywanych przez władze węgierskie.

Dla cywilów powołano komórkę opiekuńczą pod nazwą Sekcja Polska w IX Departamencie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a dla wojska w XXI Oddziale Ministerstwa Spraw Wojskowych pod nazwą Przedstawicielstwo Wojska Polskiego. Jako żona oficera otrzymywałam 7 pengő dziennie.

Z chwilą kiedy znalazłam względnie stały dach nad głową, zapragnęłam, w miarę moich możliwości być pożyteczną i pomagać innym, bardziej potrzebującym. Z domu wyniosłam tradycję pracy patriotyczno-społecznej. Mój ojciec w czasie zaborów był naczelnikiem w Polskim Towarzystwie Gimnastycznym „Sokół” w Środzie Wielkopolskiej. Posiadam fotografie ojca i pięciu Sokołów w mundurach organizacji. Było to patriotyczne stowarzyszenie społeczno-wychowawcze, istniejące na terenach zaboru pruskiego już od 1885 roku. Dla umożliwienia organizacji odbywania ćwiczeń ojciec mój ofiarował część swej ziemi.

Za pośrednictwem pani Hido-



Tablica pamiątkowa na gmachu byłej polskiej
Przychodni Zdrowia przy ul. Fő 11 w Budzie

wej znalazłam pracę w Węgiersko-Polskim Czerwonym Krzyżu (posiadam legitymację wystawioną przez tę organizację w języku węgierskim).

Od Węgrów i z zagranicy nadchodziły paczki dla Polaków. Zajmowałam się sortowaniem, a w niektórych przypadkach i naprawianiem nadesłanych rzeczy oraz rozdzielaniem ich między uchodźców polskich.

Należy wspomnieć, że wojskowym wydawanym cywilne ubrania i bieliznę, żeby ułatwić im poruszanie się po terytorium Węgier. Inną dziedziną mojej działalności była opieka nad chorymi w szpitalach wojskowych w Budapeszcie z ramienia Węgiersko-Polskiego Komitetu nad uchodźcami polskimi.

Pracowałam tam pod kierownictwem gen. dr Jana Kollátaja. Wśród moich pamiątek z tego okresu

zachowała się fotografia generała w otoczeniu współpracujących z nim Polek i Węgielek, jak np.: Dziembowska z Bydgoszczy, Aranka Szarka-Ziembowa - Węgierka, żona polskiego majora, ja i inne.

Chorzy leżący w szpitalu mieli zapewnione minimum wyżywienia. Zanosilał więc im owoce i masło, którego w szpitalu było brak. Specjalnej mojej opiece byli powierzeni chorzy na gruźlicę. W mojej pamięci szczególnie utkwił taki przypadek: - Jeden z ciężko chorych, leżący w pancerzu gipsowym, marzył o zjedzeniu śledzia

z kartoflami w łupinach. Kiedy z niemalym trudem zdobyłam tę upragnioną potrawę i przyniosłam do szpitala, chory już nie żył.

W szpitalu wojskowym w Budzie odwiedziłam również dr Józefa Smolińskiego. Miałam okazję zrewanżować się za okazaną mi pomoc w drodze do Budapesztu.

Chciałabym jeszcze wrócić do pierwszej obchodzonej na tutejsze Wigilii. Urządzili ją nam Węgrzy ogromnie wystawnie w restauracji Kárpáthy. Brali w

niej udział również władze węgierskie.

Drugą Gwiazdkę roku 1940 obchodziliśmy już bardzo skromnie w moim nowym schronieniu na Dohány utca, gdzie zamieszkiwałam po wyprowadzeniu się z hotelu. Brali w niej udział: mój mąż, którego odszukałam w obozie wojskowym Jolswa, sędzia Seweryn Kałamański z Łodzi i kilku innych znajomych. Wspomnieniom nie było końca. Byliśmy wszyscy bardzo wzruszeni.

Wiosną 1944 roku wojska hitlerowskie zajęły Węgry. Na wieść o tym gen. J. Kollátaj udał się do swojego biura, żeby zniszczyć dokumenty, które mogły nas zgubić, gdyby wpadły w ręce Niemców (przede wszystkim spis osób i adresy pracujących w Komitecie Opieki). Został tam na miejscu zastrzelony.

Brak przezorności ze strony polskich, jak i węgierskich, działaczy spowodował, że w ręce Niemców dostały się spisy osób pracujących społecznie. Toteż niektórych Polaków aresztowano natychmiast, inni musieli meldować się władzom węgierskim raz w miesiącu.

Do tej ostatniej grupy należałam i ja.

Wieżenie, w którym przebywali Polacy, mieściło się na Fő utca. Zorganizowaliśmy natychmiastową pomoc więźniom, dostarczając im żywność i bieliznę.

Dla sędziego Wacława Słonińskiego z Poznania przyszła wiadomość od żony i dzieci. Upiekłam więc babkę, w której umieściłam fiolkę z listem. Kiedy w dniu przyjęć paczek gestapowcy kontrolowali ich zawartość,

tylko z wielkim trudem opanowałam zdenerwowanie. Wykrycie „szmugłów” mogło mnie drogo kosztować.

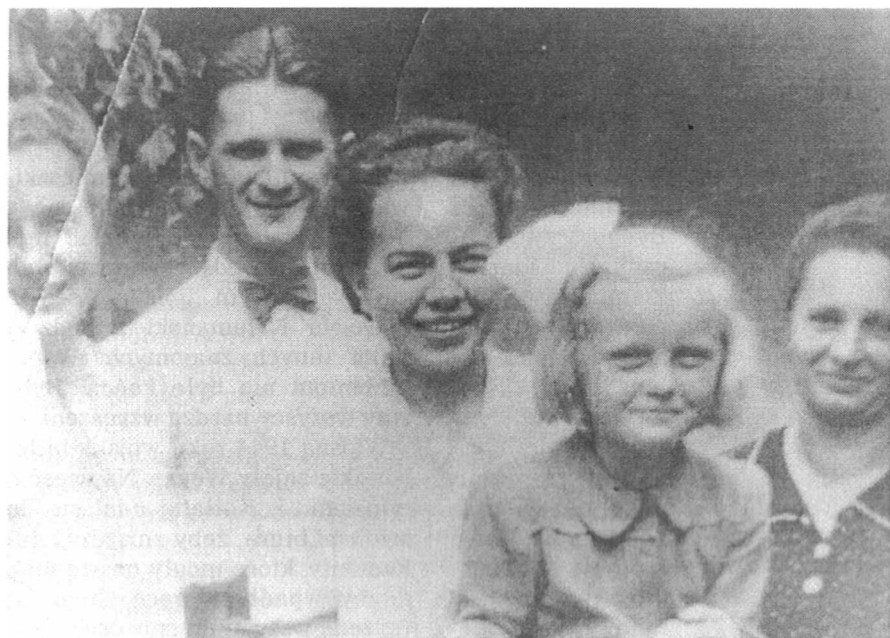
Pewnego dnia o godzinie piątej rano przyjechało po mnie Gestapo i przewiozło mnie do więzienia na Fő utca.

Zanim umieszczono mnie w celi długie chwile stałam pod ścianą z założonymi do tyłu rękami.

Na drugi dzień



Archiwalne zdjęcie internowanych żołnierzy polskich



Zdjęcie archiwalne polskiej rodziny uchodźców

„buda” przewieziono mnie do siedziby Gestapo na Svábhegy (obecnie: Jánoshegy). W „budzie” w małych klatkach siedzieli Żydzi. Po długotrwałym przesłuchaniu odwieziono mnie z powrotem do więzienia na Fő utca.

Kiedy więźniowie, a szczególnie sędzia Słoniński, zobaczyli mnie na spacerze na więziennym podwórku, powiedzieli głośno, że skończyły się dostawy paczek.

Dzięki staraniom Przewodniczącej Węgierskiego Czerwonego Krzyża, pani Lukács, zwolniono mnie z więzienia i wywieziono do obozu oficerskiego w Kustany nad Balatonem, gdzie były internowane również rodziny wojskowe.

W obozie panowała dość duża swoboda. Mogliśmy wychodzić na spacer, zwiedzać okoliczne miejscowości.

Był sierpień 1944 roku. Po kilku spokojnych dniach obozowych zjawia się po mnie ponownie Gestapo. Tym razem od obozu koncentracyjnego lub więzienia, a może nawet śmierci ratuje mnie komendant obozu, Węgier, którego nazwiska nie pamiętam i na próżno usiłowałam potem dowiedzieć się i odszukać. Po zapewnieniu, że nigdy z obozu nie wychodziłam i wychodzić nie będę oraz po przekupieniu gestapowców dużą ilością żywności, pozwolono mi pozostać w obozie.

W grudniu 1944 roku, kiedy

zbliżały się wojska radzieckie, Niemcy ewakuowali oficerów do różnych oflagów, a ich rodziny, kobiety i dzieci wywieziono do Austrii do obozu przejściowego. Tu rozebrano wszystkich do naga w celu rzekomego odkażenia (odwszenia) garderoby i ludzi.

Tak staliśmy nadzy, bez jedzenia i picia, zmarznięci od 6 rano do wieczora do godziny 22. Po czym oddano nam rzeczy i umieszczono w zapluskwionych barakach.

Stąd po kilku dniach przetransportowano nas do miejscowości Treiskirchen koło Wiednia, do pracy w fabryce opon „Semperit”. W drodze, a także w obozie internowani masowo umierali, głównie na zapalenie płuc.

W fabryce (Semperit) pracowali również Czesi, ale my byliśmy traktowani nieporównywalnie gorzej. Nie otrzymywaliśmy kartek żywnościowych, ani mleka, nosiliśmy odznaki „P” i nie wolno nam było podczas nalotów wchodzić do schronów.

Po pracy w fabryce wykonywaliśmy prace porządkowe, chodziliśmy na „wykopki” zamarzniętej brukwi, z której gotowano nam zupę. Dokuczały nam zimno i głód.

Mnie i innym więźniarkom ze znajomością języka niemieckiego pozwalano czasami, w przerwach od zajęć zmywać naczynia w Szkole Kadetów, za co otrzymywałyśmy kawę i chleb z marmo-

ładą.

Około Wielkiej Nocy 1945 roku słyszeliśmy zbliżający się front. Niemcy zmuszali nas do opuszczenia obozu i ucieczki z nimi na Zachód. Kilka z nas, m.in. Jabłońska (żona majora) z córką, schowało się między stertami węgla i tak przeczekaliśmy okres do nadejścia wojsk radzieckich.

Teraz, częściowo pieszo, częściowo wagonami towarowymi, przez granicę koło Sopronu, wracałyśmy do Budapesztu.

W drodze w jednym ze szpitali spotkałam ciężko chorego na gruźlicę mego podopiecznego z Budapesztu, syna gen. J. Kołłątaja. Prosił, żeby zabrać go ze sobą. Ze względu na jego ciężki stan z przykrością musiałam mu odmówić.

Pierwszego maja 1945 roku dotarłam do Budapesztu. Tu zaopiekowała się mną ponownie pani Hidowa. Nie mogła mnie w pierwszej chwili rozpoznać, tak byłam wynędzniała, zmieniona.

Po otrzymaniu zaświadczenia, że wracam z obozu pracy, po kilku dniach udałam się do brata, do Krakowa. Tu dowiedziałam się, że mąż żyje, że walczył pod Tobrukiem i Monte Cassino. Jego odznaczenie bojowe znajduje się w Szkole im. Monte Cassino w Poznaniu. Tak zakończyła się moja tułaczka wojenna.

Przeżyłam bardzo ciężkie chwile, ale doznałam tyle bezinteresownej serdeczności i opieki ze strony Węgrów, że postanowiłam spłacić częściowo dług wdzięczności.

Byli uchodźcy z Węgier, m. in.: dr Józef Smoliński i dyr. Władysław Król, założyli w Poznaniu w 1958 roku Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Węgierskiej.

W tym samym roku wstąpiłam do TPPW, a od 1960 roku pracuję w Zarządzie. Jestem długoletnią jego prezesem.

Za społeczną pracę w TPPW otrzymałam Odznakę Honorową Miasta Poznania i Odznakę Zasłużonego Działacza Kultury.

Maria Jarecka
Poznań

Z cyklu: „Nasi przyjaciele”

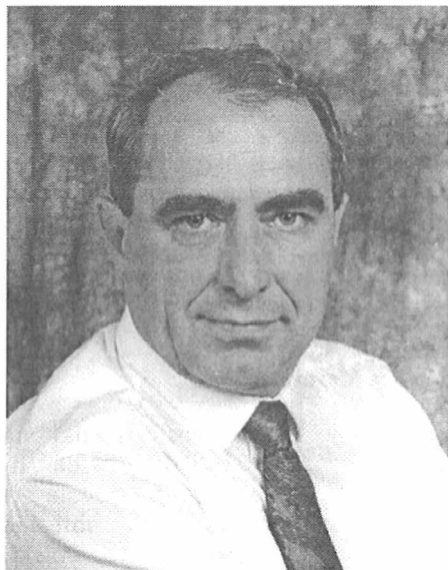
Historia moich przyjaźni z Polakami

Rozmowa z posłem Zoltánem Nagyiványim

Zoltán Nagyiványi, poseł do węgierskiego Zgromadzenia Narodowego i członek Węgiersko-Polskiej Grupy Unii Międzyparlamentarnej jest znanym przyjacielem Polski i Polaków. W dodatku serdeczne więzy, które łączą go z licznymi przyjaciółmi w Polsce rozpoczęły się w okresie, kiedy kontakty z Polską należały do rzadkości. Możemy więc powiedzieć, że w pewnym sensie jest ich prekursorem. Kontakty te były pierwszym wątkiem naszej rozmowy. Mój rozmówca wielokrotnie odwiedzał nasz kraj także z racji członkostwa w grupie IPU, a o jego zaangażowaniu w sprawy polskie świadczyć może również fakt zorganizowania w ośrodku wypoczynkowym zakładów E-GISZ pobytu grupy polskich dzieci z terenów zalanych powodzią. Te dwa ostatnie wątki rozmowy zmuszony jestem jednak odłożyć do następnych numerów „Głosu”.

- R.F.: - Od kiedy datują się twoje kontakty z Polską? Z tego co wiem, rozpoczęły się one znacznie wcześniej, jeszcze w okresie, kiedy uchodziło to za cwenement.

Z.N.: - Jeżeli sobie dobrze przypominam, historia tych kontaktów rozpoczęła się w 1961 roku. Byłem wtedy jeszcze uczniem Technikum Przemysłu Drzewnego. Odpoczywaliśmy wtedy ze znajomymi w ich dachy nad Bala-tonem. W jednej z restauracji przysiedliśmy się do dziewczyn, które rozmawiały „w obcym języku”. Natomiast kilka dni później wracaliśmy pociągiem do Budapesztu. Trzeba tutaj nadmienić, że pociągi były wtedy strasznie zatłoczone. Wskoczyłem do przedziału, by zająć miejsca i odebrać bagaże podawane przez okno. Ku mojemu zdziwieniu, znajoma z restauracji wyciągnęła do mnie swoje bagaże, również prosząc o pomoc przy zajęciu miejsca. Zmieciliśmy się w jed-



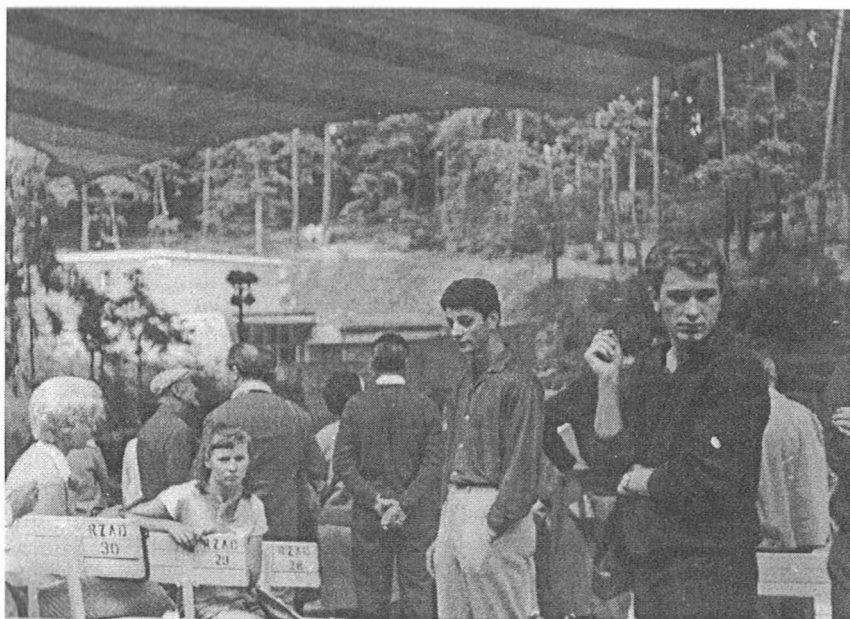
nym przedziale. Przez całą drogę próbowaliśmy rozmawiać - w szkołach obydwójce uczyliśmy się wtedy rosyjskiego. Okazało się, że wujek Danuty - bo tak ma na imię - w czasie wojny schronił się na Węgrzech, a później osiedlił się w Keszthely. Do niego więc przyjechała w odwiedziny rodzina z Polski. Zanim dojechaliśmy do Budapesztu, zdążyliśmy opowiedzieć coś o sobie, kto gdzie

mieszka, czym się zajmuje, oraz wymienić adresy.

R.F. - Odnoszę wrażenie, że nawiązywanie kontaktów i przyjaźni między ludźmi było wtedy jakby łatwiejsze.

Z.N.: - Myślę, że nie ma zasadniczej różnicy. Nie wolno jednak zapominać, że było to 36 lat temu, kiedy świat był zupełnie inny - obcokrajowców spotykało się tak rzadko, że traktowani byli niemal jak „istoty nie z tej planety”, a my sami bardzo mało wiedzieliśmy o zagranicy i żyjących tam ludziach. Oni byli więc sensacją, a my z kolei ciekawi byliśmy wszystkiego, co nowe i być może właśnie dlatego kontakty te były łatwiejsze. Dzisiaj natomiast obcokrajowców spotyka się na każdym kroku, tak na ulicy, jak i w codziennym życiu. Spowszedniały więc kontakty z nimi i nie mają one już, że tak powiem, tamtej romantyki. Poza tym, miałem wtedy 16 lat. Jest to wiek, w którym człowiek chce „ogarnąć cały świat” i wszystko poznać.

Wracając jednak do naszej hi-



W trakcie drugiego wyjazdu do Polski w Operze Leśnej w Sopocie



Z grupą przyjaciół na Mazurach

storii, muszę powiedzieć, że po powrocie do Budapesztu czekała na mnie kartka pocztowa - pozdrowienia z Polski - odpisałem i tak rozpoczęła się nasza „aksamitna korespondencja”. PISAŁIŚMY o tym co nowego w szkole, czym się zajmujemy i w ogóle o takich prostych sprawach, które dało się opisać przy pomocy słownika. W którymś z listów napisałem, że interesuje mnie kraj, w którym żyje Danuta. Ona była już wtedy studentką w Olsztynie. Na to, pamiętam jak dziś, przed gwiazdką przyszedł z Polski list po polsku, pisany na maszynie, z urzędowymi podpisaniami i pieczęciami. W gronie moich znajomych nikt nie znał polskiego, zaniósłem go więc do biura tłumaczy. Okazało się, że jest to oficjalne, potwierdzone przez notariusza, zaproszenie do Polski na lato przyszłego roku. Kiedy z przekładem wróciłem do domu i powiedziałem, że jestem zaproszony do Polski, wszyscy byli moim zamiarem zbulwersowani. Nie wyobrażali sobie, jak mi może coś takiego przyjść do głowy: „przecież nie znasz ani ludzi, ani kraju, ani języka” - argumentowali. W dodatku wiązało się to ze znacznymi wydatkami. Na szczęście mam brata, który jest o osiem lat starszy ode mnie, i który podszedł do sprawy z wielką empatią i przekonał rodziców, by pozwolili mi pojechać. Pomyślałem jednak, że skoro jestem zaproszony, nietaktem

byłoby nie zaprosić Danki na Węgry. Uzgodniliśmy więc listownie, że ona przyjedzie w czerwcu, będzie tutaj miesiąc i razem pojedziemy do Polski. Pamiętam jeszcze, że sam paszport kosztował olbrzymią wtedy sumę: tysiąc forintów. W dodatku była to tylko wielokrotnie składana harmonika - wkładka do dowodu osobistego. Umówiliśmy się co do terminu przyjazdu, ale w jej liście był określony jakiś szczególny znak, po którym mam ją poznać na dworcu: napisała, że poznam ją po „żółtym kapeluszu”. Słowa tego nie mogłem znaleźć w żadnym słowniku. Wyszliśmy więc z bratem na dworzec, wiedząc, że należy szukać „czegoś żółtego”. Tego wielkiego, żółtego kapelusza nie sposób było jednak nie zauważyć.

Miesiąc minął nam bardzo szybko. Razem z całym towarzystwem dużo jeździliśmy po Węgrzech, chodziliśmy tańczyć i mimo trudności językowych, jakoś się potrafiliśmy porozumieć. W dodatku Danka zaczynała sobie radzić po węgiersku - była wtedy już chyba po raz trzeci na Węgrzech.

W międzyczasie przygotowywałem się do drogi, kupiłem bilet, który - w stosunku do paszportu - był zadziwiająco tani: do Olsztyna i z powrotem pociągiem pierwszej klasy kosztował 230 forintów. Podróż mieliśmy bardzo przyjemną. Pamiętam przesiadkę w Warszawie, gdzie jeszcze ciągle

widać było ślady wojny. Nie zapomnę też nigdy wrażenia, jakie wywarł na mnie widok przeciągających się za oknem pociągu, spowitych poranną mgłą lasów iglastych, których na Węgrzech nie ma.

W Olsztynie zostałem przyjęty bardzo miło. Dziwne były tylko polskie potrawy, więc gospodarze, znając węgierskie zwyczaje, próbowali mi je „zwęgrzyć” podając do każdej potrawy czerwoną paprykę w proszku. W drugim tygodniu pobytu zacząłem się uczyć polskiego: poznałem wtedy chyba ze sto podstawowych słów. W międzyczasie Danka musiała pojechać na letnie praktyki studenckie i zostawiła mnie towarzystwie rówieśników. Poznałem wtedy bardzo wielu późniejszych przyjaciół, z którymi przez długie lata odwiedzaliśmy się i odwiedzamy - na zasadzie wzajemności.

Po miesiącu wróciłem więc na Węgry pełen wrażeń. Opowiadając o nich mojemu bratu, kolegom i znajomym, udało mi się zarazić ich bakiem i namówić na wyjazd do Polski. Razem z bratem i kolegami nie mogliśmy jednak myśleć o wyjeździe do znajomych. Pojechaliśmy więc na camping. Tym razem, obok odwiedzin u „starych” przyjaciół, którzy camping zarezerwowali i czekali na nas, razem z nimi pojechaliśmy również na wybrzeże - do Trójmiasta. Muszę tu dodać, że po pierwszej podróży zapisałem się na kurs języka polskiego prof. I. Varsányiego w Ośrodku Kultury Polskiej. Znajomość języka polskiego jeszcze bardziej poszerzyła moje polskie kontakty. W międzyczasie udało się „zarazić” Polską rodzinę i znajomych na tyle, że np. podczas mojej służby wojskowej matka z ojcem wybrali się sami do Polski i spędzili tam dwa tygodnie, mimo tego, że matka była już blisko 60-ki, a ojcu nawet już minęła. Muszę jeszcze dodać, że była to ich pierwsza podróż za granicę. Przyjaciele z Olsztyna byli tak mili, że wyjechali po nich do Warszawy. W czasie służby w wojsku brat też organizował wyjazdy do Polski - raz, pamiętam, do przyjaciół w Olsztynie zabrał swych teściów, żonę, szwagra

i dwie córki – razem 7 osób. Z drugiej strony znajomi i przyjaciele z Polski też do nas przyjeżdżali. Mieszkanie wyglądało nie raz jak koczowisko: materace leżały na podłodze jeden obok drugiego. Tak więc już bez mnie zaczęli jeździć do Polski, nawiązywać przyjaźnie.

R.F.: - Czy mogę stwierdzić, że byłeś jednym z prekursorów osobistych kontaktów, wzajemnych wyjazdów i przyjaźni polsko-węgierskich?

Z.N.: - Zagraniczne wyjazdy należały wtedy do rzadkości i wiedziało o nich prawie całe osiedle, a przynajmniej wszyscy, nawet dalsi, znajomi. W trzy-cztery lata po nawiązaniu kontaktów, już po zakończeniu służby wojskowej okazało się, że na o-



Z delegacją parlamentarną w Poznaniu

siedlu, gdzie mieszkaliśmy wielu poszło moim śladem.

R.F.: - Z tego co wiem, później organizowałeś również wyjazdy drużyn sportowych ...

Z.N.: - Po studiach zacząłem pracę w Zakładach Farmaceutycznych EGYT, gdzie miałem wielu rówieśników. Słyszeli oni o moich polskich kontaktach, również zaczęli wyjeżdżać do Polski. Nasza drużyna koszykówki była

wtedy w ilidze i zaczęła szukać kontaktów z drużynami polskimi. Za pośrednictwem federacji sportowej zaprosiliśmy drużynę AZS Pruszków na międzynarodowe igrzyska NIKEKAK organizowane corocznie w Balatonfüzfő. Oczywiście nie mogło mnie tam brakować. Później wielokrotnie graliśmy w Pruszkowie, a i oni przyjeżdżali na Węgry.

W następnym numerze „Głosu” przedstawimy ten wątek rozmowy z Zoltánem Nagyiványim, który obejmuje kontakty parlamentarne oraz udział w akcji na rzecz pomocy powodzianom.

rozmawiał:
Ryszard Frąszczak

Polki z Biblioteki ...

Dokończenie ze str. 17

Opracowanie wydawnictw odbywa się u nas na dwóch systemach komputerowych: ISIS i DOBIS-LIBIS, czego wynikiem jest między innymi to, że oprócz tradycyjnych katalogów kartkowych, czytelnicy biblioteki mogą posługiwać się także katalogami widocznymi na ekranie komputera. W swojej pracy spotykam się również z wydawnictwami polskimi, których opracowywanie sprawia mi wiele przyjemności. Są to przeważnie książki tematyczne, osobowo lub geograficznie związane z Węgrami, tłumaczenia książek węgierskich na język polski, polskie encyklopedie, słowniki, bibliografie, jak również utwory klasyków literatury i historii polskiej.

Aulita Goe-Pap:

Na Węgry przybyłam w 1969 roku. Jako filolog, szukałam pracy w szkolnictwie, ale znikoma jeszcze wówczas znajomość języka węgierskiego przekreśliła moje zamiary. Na szczęście Biblioteka Gorkiego

poszukiwała w tym czasie pracownika i wzięwszy pod uwagę moją znajomość języków obcych, wielkodusznie przytknęła oczy na brak odpowiednich kwalifikacji zawodowych i kłopoty z węgierskim.

Moja dziesięcioletnia praca w tej instytucji dała mi solidne podstawy zawodu bibliotekarza, co z kolei umożliwiło mi otrzymanie w 1982 r. angażu Biblioteki Narodowej im. Széchenyiego. W bibliotece trafiłam do Centralnego Katalogu Czasopism Zagranicznych, którego główną zaletą, z mojego punktu widzenia, była tworzona właśnie komputerowa baza danych. Miałam szczęście, że mogłam uczestniczyć w tej pracy od początku do końca. Nasza baza danych, informująca potencjalnych czytelników jakie czasopisma zagraniczne (w tym oczywiście i polskie) są dostępne w bibliotekach na terenie Węgier, ukazuje się już od kilku lat na płycie kompaktowej a także jest osiągalna za pośrednictwem Internetu.

Elżbieta Byczyńska:

Pracuję w Bibliotece Narodowej im. Széchenyiego stosunkowo krótko, bo dopiero od 1995 roku, ale z jej funkcjonowaniem miałam możliwość zapoznać się już w tym samym roku na specjalnym szkoleniu, zorganizowanym dla nowych pracowników. Moim miejscem pracy jest Centralny Katalog Książek istniejący od 75 lat i zawierający informacje o księgozbiorach bibliotek węgierskich. Jest tu również oddzielny katalog książek w językach słowiańskich, dzięki któremu można łatwo sprawdzić, czy dana polska książka znajduje się w którejś z bibliotek węgierskich i w której jest dostępna. Dalsze plany zakładają opracowanie katalogu elektronicznego, w związku z czym uczęszczam obecnie na kurs komputerowy. Bardzo lubię książki i pracę z nimi związaną. Redagując katalog, mogę na bieżąco orientować się w ruchu wydawniczym niemal na całym świecie. Moja znajomość języków obcych jest w tej pracy bardzo potrzebna i wykorzystana.

A.G.P.

INFORMACJE DLA WSZYSTKICH

Stowarzyszenie J.Bema (tel. 111-0216, fax: 312-8204)

Budapeszt V, Nádor u. 34.II.1.

Czytelnia:

od poniedziałku do piątku od godz. 17.00 do 19.00;

Biblioteka:

we wtorki i czwartki od 17.00 do 19.00;

Sekretariat:

w poniedziałki i środy od 9.00 do 13.00,

we wtorki i czwartki od 17.00 do 19.00;

„Klub Seniora”

w każdy wtorek od godziny 17.00.

Stowarzyszenie Św. Wojciecha tel. 262-55-02

Sekretariat

Dyżur członków Zarządu na Plebanii Kościoła Polskiego:

w poniedziałki od godz. 17.00 do 19.00.

Kościół Polski

Budapeszt X, Óhegy u. 11. (tel. 262-55-02)

Msze Święte:

niedziela, godz. 10.30 i 18.00 (po polsku),

niedziela, godz. 9.00 (po węgiersku).

Instytut Polski

Budapeszt VI, Nagymező u. 15. (tel. 111-58-56)

Salę Wystawowe:

od poniedziałku do czwartku od 10.00 do 17.00;

w piątki od godz. 10.00 do 16.00.

Biblioteka, Videoteka:

w poniedziałki, czwartki od godz. 13.00 do 17.00;

PODZIĘKOWANIA

Zarząd oraz członkowie

Polskiego Stowarzyszenia

Kulturalnego im. Józefa Bema

składają serdeczne

podziękowanie wszystkim,

którzy przyczynili się do

realizacji remontu siedziby

Stowarzyszenia, a szczególnie

Węgierskiemu Urzędowi d/s

Mniejszości Narodowych

i Etnicznych oraz

Ogólnokrajowemu

Samorządowi Mniejszości

Polskiej na Węgrzech.

Dziękujemy



ROK XXVI, Nr 49, Wrzesień 1997 r.

Głos Polonii - pismo Polskiego Stowarzyszenia
Kulturalnego im. gen. Józefa Bema na Węgrzech,
kwartalny dodatek „POLONII WĘGERSKIEJ”

Redaguje Kolegium w składzie:

Jerzy Kochanowski (red. nacz.)

Helena Révész, Alicja Nagy, Ryszard Frąszczak

Odpowiedzialny wydawca:

Prezes Stowarzyszenia

Adres: 1051 Budapeszt, V. Nádor u. 34.II.1.

Tel.: 111-0216 Fax: 312-8204

ISSN 0238-2644

TARTALOMBÓL :

- Minden jóakarató embernek ..., azaz győri segítség a lengyel árvízkárosultaknak;
- Árvízkárosult gyerekek Győrben;
- Lengyel gyerekek Pestlőrincen;
- Magyar segítség Bem városának;
- József Andrassy segítőkészsége;
- Gdańsk Milléniuma, A város kiemelkedő személyiségei;
- Rendezvény- és eseménykrónika;
- Egyesületünk 40 éve;
- Közéleti aktivistáink portréja;
- „Barátaink” sorozatban: beszélgetés Nagyiványi Zoltánnal.